»Kamena« sprzed lat trzydziestu pięciu — str. 6 i 7

CENA 2 ZŁ

Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 15.IX.1968 Nr 19 (400) R. XXXV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

UROCZYŚCIE obchodzi się pięciolecie, dziesięciolecie, piętnastolecie, dwudziestolecie, dwudziestopięciolecie, trzydziestolecie. Potem te „lecia" już powszednieją.

Zastanawialiśmy się w redakcji, czy mamy przygotować specjalny numer „Kameny" na przypadające właśnie we wrześniu br. trzydziestopięciolecie założenia „Kameny". Doszliśmy do zgodnego wniosku, że trzeba wprawdzie to wydarzenie odnotować, ale nie ma potrzeby poświęcać mu zbyt wielkiej uwagi. Przecież JUŻ za PIĘTNAŚCIE LAT minie PÓŁ WIEKU od ukazania się pierwszego numeru. Jeśli spokojnie dożyjemy tej uroczystej chwili, wówczas zrobimy JUBILEUSZ na pięćdziesiąt fajerek!

35 lat to jednak — co tu wiele mówić — też spory szmat czasu. w Lublinie były różne „Lucyfery", „Reflektory", „Barykady", „Światła", „Zdroje", zapalały się i gasły, ale „Kamena", zrodzona w Chełmie, przetrwała. Odrodziła się po wojnie, przechodziła różne koleje losu, zmieniała format i częstotliwość ukazywania się, przekształcała swój profil, zawsze jednak pozostała wierna założeniom, jakie postawił przed nią twórca pisma, Kazimierz Andrzej Jaworski:

„Rozumiemy dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na nim: zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady nie tylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletariatu...".

Był to cytat z artykułu, który ukazał się w 10 numerze „Kameny" z czerwca 1934 roku. (Artykuł ten, jak i wiele wierszy oraz materiałów wyjętych z pierwszego rocznika „Kameny", przypominamy na str. 6 i 7).

Ze słów tych nie można nic ująć, trudno do nich cokolwiek dodać, chociaż nieco inny jest dzisiaj świat i inna jest w nim pozycja Polski. Nadal jednak żyjemy w epoce przełomowej, nadal toczy się walka ze złośliwym kapitalizmem, z siłami militaryzmu, odwetu, kontrrewolucji, które niepomne lekcji historii znów chciałyby zepchnąć ludzkość w odmęt najstraszliwszej z wojen.

„Kamena" dziś jak i wczoraj stoi po lewej stronie barykady, nie zmieniła swojego programu, swoich założeń ideowych, choć w innych warunkach politycznych naszego kraju nadała im wyraźniejszego, zaangażowanego charakteru.

35-lecie „Kameny" zobowiązuje nasz szczupły zespół redakcyjny do podjęcia nowych wysiłków. Naszym adresatem jest przede wszystkim inteligencja, w szerokim pojęciu tego słowa, młodzież akademicka i młodzież starszych klas licealnych. Pragniemy rozszerzyć krąg naszego zainteresowania, szerzej zająć się problematyką społeczną, głębiej poruszać tematy związane z życiem na wyższych uczelniach, bardziej docierać do małych miast i osiedli w czterech wschodnich województwach.

Mamy wielu wypróbowanych przyjaciół, pragnęlibyśmy zyskiwać nowych. W trzydziestopięciolecie „Kameny" rzucamy hasło: KAŻDY PRZYJACIEL „KAMENY" — PROPAGATOREM PISMA! KAŻDY PRZYJACIEL „KAMENY" PRZYSPARZA PISMU NOWYCH CZYTELNIKÓW!

Zbieg okoliczności spowodował, że na trzydziestopięciolecie wydajemy 400 numer „Kameny". A więc za niecałe cztery lata — numer 500! A może RSW „PRASA" przekształci wreszcie pismo w tygodnik? Numer 500 wówczas automatycznie przyspieszymy!

Fragment Pomnika Walki i Męczeństwa na Majdanku: rzeźbiarska brama prowadząca do mauzoleum — krypty. (Rozmowę z autorem projektu, inż. arch. Witoldem Tołkinem zamieszczamy na str. 5)
Zdjęcie makiety: autor projektu.

PRAWDZIWI LUDZIE Z SOLINY

Romuald Wiśniewski

— TAK, tak, proszę pana, trzy lata tu przeżyłem. Przedtem odsiedziałem półtora roku za wypadek motocyklowy po wódce. Mogło być gorzej, artykuł przewidywał i trzy lata. Siedziałem w celi czteroosobowej, jedzenie choć proste było zdrowe, opieka lekarska na miejscu, pracowałem na budowie, do pracy wozili nas autobusami, a robotników z wolności — ciężarówkami. No i świetlicę też mieliśmy, radio i telewizję, tylko jak były filmy kryminalne, albo dużo bijatyki na noże lub pięści, wyłączali aparat. Tak samo w bibliotece nie było powieści kryminalnych. Śmieszne, nie? Gdyby te „kryminały" uczyły złego, to nie powinny być dostępne przede wszystkim na wolności, bo różni złodzieje i drobni włamywacze, którzy siedzieli ze mną, mogliby najwyżej nauczyć czegoś autorów książek i scenariuszy. Więc wie pan, dlaczego więzienie jest takie straszne? Nawet nie dlatego, że jest ograniczona korespondencja, rzadkie widzenia, brak kobiet; za dobre sprawowanie krótkoterminowi dostają czasem przepustki. Ale ciągle jest się więźniem. Na wolności można przez całe życie siedzieć w jednej wsi i nie ma problemów, bo się wie, że w każdym momencie można rzucić wszystko i ruszyć gdziekolwiek.

Tym właśnie różniła się Solina od mamra. Mieszkałem w pokoju trzyosobowym, jadłem w stołówce, wiadomo, co to za gips, rozrywek żadnych, alkoholu ani na lekarstwo, nawet piwa, towarzystwo stale jednakowe, zupełnie jak w „pudle", tylko robota cięższa, bo i klimat tu surowy i pracowało się na trzy zmiany. Ale wychodząc stamtąd miałem znamię przestępcy zwolnionego przedterminowo; wie pan, jak to jest, człowiek siedzi za wypadek drogowy, a ludzie mówią „kryminalista". Trudno mieć pretensję, na wspomnienie tamtej kraksy sam do siebie czuję niesmak. Tu nikt mi nic nie mówił, tylko personalny, gdy mnie angażował, spytał: „wytrzyma pan bez wódki? W Solinie pijaństwa nie będziemy tolerowali". Wytrzymałem, może dlatego, że nie było pokus, w każdym razie z wódki jestem wyleczony.

Przyszedłem tu, by zniknąć z oczu znajomym i krewnym, po prostu szukałem azylu. A potem przyzwyczaiłem się, powiedziałbym: pokochałem tę robotę, lecz to może śmiesznie wyglądać, więc niech będzie: polubiłem. To nie jest jakaś tam tuzinkowa budowa, ale największa zapora w Polsce. Wie pan, pracuje się — i z dnia na dzień widać rezultaty. No i ma pan, oddano teraz hydroelektrownię do użytku, a ja chodzę dumny, bo się tu natyrałem. I na akademiach mnie wymieniano, kilka dyplomów otrzymałem i w prasie drugi raz mnie opisali. „Pijany motocyklista spowodował wypadek". Pamiętam ten tytuł dokładnie, nawet treść notatki znam na pamięć. A teraz? „Budowniczy Soliny". Ze zdjęciem. Byłem na urlopie w domu. Rodzina i znajomi widzieli tę notatkę, gratulowali mi. Teraz mogę śmiało przyjąć każdą posadę, jaką zechcę, nikt mi nie powie o alkoholu, o wypadku. A wie pan, jaką podejmę? Taką samą. Zgłosiłem już w dyrekcji prośbę o zaangażowanie na budowę do Czorsztyna. To też wielka zapora.

* * *

— Ech, cóż to nadzwyczajnego? Mam teraz lat 37, a jeżdżę od roku 1951. Zaczynałem od wyjazdu na „Celwiskozę" w Jeleniej Górze. Od roku 1953 budowałem obiekt wodny w Częstochowie, od 1954 Goczałkowice, potem Bujaków i Porąbkę, w 1956 przeniesiono mnie do Nysy Łużyckiej, w 1960 do Kluczewa pod Starogardem Szczecińskim, w 1961 do Przeczyc na Śląsku, w 1963 do Kołobrzegu, w 1964 — do Soliny. Normalna rzecz. Kończy się jedna budowę, idzie na drugą. Oczywiście mógłbym sobie znaleźć pracę w jakimkolwiek przedsiębiorstwie budowlanym w dużym mieście. No i co? Będę klepał jeden dom za drugim, a wszystkie podobne do siebie, według typowej dokumen-

Dokończenie na str. 4

Rozmowa z Janem Parandowskim

Fot. W. Malicki

— Należy Pan do pisarzy, których twórczość nawiązuje często i wielorako do starożytności greckiej i rzymskiej, nie oddalając się przez to zbytnio od współczesności. Pod tym względem nie widać następcy Pana wśród pisarzy młodszego pokolenia. Jak Pan ten fakt ocenia i czy nie jest Pan zatroskany rozluźnieniem związku współczesnej literatury z antyczną?

— To jest szersze zagadnienie, bo wiąże się z samym wykształceniem. Obecnie przecież nie ma w szkole średniej greki, a łacina odgrywa dosyć małą rolę. Oczywiście, mogą się rozwijać zainteresowania antykiem poza szkołą. I właśnie, co jest ciekawe, to ogromne zainteresowanie współczesnego czytelnika książkami związanymi z historią i kulturą antyczną, rozwijające się bez przymusu szkolnego. Każda pozycja, która się ukazuje, jest bardzo skwapliwie czytana. Należy to do zjawisk nowych i zastanawiających. Mam w tym zakresie własne doświadczenia. Na przykład *Odyseja* w moim przekładzie ukazała się w nakładzie na dawne stosunki niebywałym. Gdy zaś dziesięć lat temu redagowałem serię wydawnictw z literatury antycznej, gdzie ukazał się Tukidydes w przekładzie prof. Kumanieckiego i Herodot w tłumaczeniu prof. Hammera, książki te rozeszły się, ku zdumieniu wydawców, błyskawicznie.

Jeśli idzie o samego pisarza, to właściwie nie może się on oprzeć na przekładzie. Gdy go ciągnie coś do świata antycznego, to musi przyciągnąć go i język. To jest nieodzowne, by poznać prawdziwy smak dawnej literatury. Są bowiem rzeczy trudne a nawet niemożliwe do przetłumaczenia. Na przykład liryka grecka wymaga szczególnego kunsztu, który jest zresztą samą prostotą. Mamy w tym zakresie znakomitego tłumacza w osobie Zygmunta Kubiaka. Ale obcowanie z poetami w oryginale to jest zupełnie coś innego, niż czytanie najlepszego nawet przekładu.

— A jak się zaczęła przygoda Pana z antykiem. Czego tam Pan szukał, co znalazł? I co współczesny pisarz może tam znaleźć?

— Moja droga była dosyć prosta. Chodziłem do gimnazjum klasycznego. Mieliśmy w programie język grecki i łaciński o ogromnie rozbudowanej lekturze. Bez wielkiej przesady mogę powiedzieć, że była to nauka zbliżona do dzisiejszych studiów filologii klasycznej. Jak się to stało, że przylgnąłem do antyku, trudno mi powiedzieć. Bardzo wcześnie, jeszcze w latach gimnazjalnych, nawiązałem z nim bardzo bliski kontakt, ze wszystkim, co się z antykiem wiązało. W szkolnym kółku wygłaszałem nawet referaty o filozofii greckiej. I tak mi to pozostało i towarzyszyło w czasach późniejszych, na uniwersytecie, gdzie studiowałem filologię klasyczną, a także przy moich własnych pracach pisarskich. Tak się rzecz miała z poezją Pindara, która towarzyszyła mi przy pisaniu *Dysku olimpijskiego*. Poeta ten pisał o sporcie, zawodach i wyścigach. Żył zresztą w tym czasie, o którym *Dysk olimpijski* opowiada.

Co można dziś w antyku znaleźć? Myśli, idee, piękno. Jeśli jest mi coś bliskie, odczuwam głos człowieka wiecznego, człowieka

Dokończenie na str. 8

teatrnn.pl

Kultura 1968

Literatura

☼ W NRD-owskim wydawnictwie Volk und Welt ukazał się tom opowiadań Stanisława Lema pt. „Test" w tłumaczeniu Cezarego Rymarowicza. Znajdują się tu m.in. utwory „Odruch warunkowy", „Albatros", „Terminus", „Inwazja z Aldebarana", „Bajka o maszynie cyfrowej co ze smokiem walczyła".

☼ Uniwersytet w Charkowie wydał pierwszą w ZSRR monografię o Prusie. Autorem jest doc. P. Werbyckyj.

☼ Ankieta w NRF wykazała, że tamtejsza młodzież najchętniej czyta Vernego, a następnie autorów angielskich. Powieści Dickensa ukazały się po wojnie w 222 wydaniach. Wśród jeszcze młodszych największym powodzeniem cieszy się Mark Twain, a Karol May spadł aż na 24 miejsce.

☼ Znany pisarz norweski, Tarjei Vesaas, autor powieści „Ptaki", według której nakręcony został polski film „Żywot Mateusza", w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Arbeiderbladet" stwierdził, że zamierza zrezygnować z działalności literackiej — w pełni sił twórczych!

☼ „W Europie szukamy perspektywy, w Ameryce Łacińskiej każdy mieszka w odosobnieniu, nie wie się, co publikują pisarze sąsiedniego kraju. Każdy kraj jest zamkniętym światem, rządzonym przez oligarchię, która w pogardzie ma kulturę i pisarzy. Niedawno palono książki w Limie i Buenos Aires. W Buenos Aires niszczono książki, które w tytule miały wyraz „czerwony". Dlatego to dosłownie wrzucono do morza egzemplarze znanej powieści Stendhala „Czerwone i czarne". Pisarz czuje się wygnańcem wyklętym we własnym kraju" — powiedział wybitny pisarz meksykański Carlos Fuentos dziennikarzowi „Le Monde".

☼ We wszystkich republikach ZSRR utworzono komitety jubileuszowe w związku ze 150 rocznicą śmierci Iwana Turgieniewa, która mija 9 listopada. W Orle, jego miejscowości rodzinnej, odsłonięty zostanie pomnik. Utwory Turgieniewa ukazały się dotychczas w ZSRR w 60 językach w nakładzie 57 mln egzemplarzy.

☼ Żona pisarza zachodnioniemieckiego Gerharda Zwerenza — Ingrid przygotowała i opublikowała niezwykle wymowną książkę pt. „Anonim". Jest to obszerny zbiór anonimowych listów z pogróżkami, obelgami i najgorszymi inwektywami, które nadsyłane są głównie do wybitnych poważnych intelektualistów, znanych przeważnie ze swoich niekonwencjonalnych, jak na stosunki bońskie postępowych poglądów, bądź też ze swego realistycznego stanowiska w sprawie granicy na Odrze i Nysie oraz NRD.

Teatr

☼ „Nie zauważyłem oznak zmęczenia czy słabości. Rozkwit życia kulturalnego w kraju, któremu zadano tak ciężkie razy, rozwój oświaty, ochrony zdrowia, nauki, literatury — to chyba najsilniejsze wrażenie, jakie wywiozłem z Wietnamu" — wspomina Peter Weiss swój pobyt w DRW, którego efektem jest sztuka „Dyskurs o Wietnamie".

☼ Trzynasty sezon paryskiego Teatru Narodów zainauguruje Royal Shakespeare Company. Zespół angielski pokaże jedną z najrzadziej granych sztuk Szekspira — „Wszystko dobre co się dobrze kończy".

☼ Na wystawie „Teatr w fotografice artystycznej" w Nowym Sadzie w Jugosławii srebrny medal uzyskał Wojciech Plewiński z Krakowa. W festiwalu teatralnym nagrodzono sztukę jugosłowiańską Primożowa Kozaka „Kongres" o konfliktach w środowiskach szkół wyższych.

☼ Burmistrz miasta Caen Louvel, senator i były minister, rozwiązał teatr miejscowego domu kultury, ponieważ — jego zdaniem — był zbyt awangardowy, a zbyt rzadko pokazywał dzieła liryczne.

☼ W monachijskim teatrze „Kammerspiele" po spektaklu sztuki Petersa Weissa „Dyskurs o Wietnamie" aktorzy rozpoczęli wśród widzów zbiórkę pieniędzy na pomoc dla wietnamskich bojowników walczących z agresorem amerykańskim. Następnego dnia dyrekcja kategorycznie zakazała dalszych zbiórek, ale aktorzy przeprowadzają je na ulicy.

Sztuka

☼ W Mediolańskiej Galerii Sztuki otwarto wystawę rzeźby Pietro Cascelli, która włoska prasa określa jako „kamienie milowe na drodze człowieczego rozwoju". Szczególną uwagę wzbudza monument przeznaczony dla oświęcimskiego obozu zagłady. Cyklopowe bryły, fragmenty murów etruskich, feudalnych sarkofagów, obalonych katedr, zburzonych miast — oto autentyczne tworzywo, jakim posłużył się artysta.

☼ W szwedzkim mieście Visby (na wyspie Gotland) czynna jest międzynarodowa wystawa sztuki współczesnej krajów nadbałtyckich „Ars Baltica", z udziałem polskich artystów. Znajdują się tu m.in. obrazy Rajmunda Ziemskiego, Janiny Matysik i Jacka Sempolińskiego, rzeźby Zdzisława Kosedy, Stanisława Kulona i Jana Bakalarczyka, grafiki Mariana Maliny i Leszka Rózgi.

☼ Mija rok od podjęcia przez polską ekipę konserwatorów prac przy ratowaniu zabytków Florencji w ramach pomocy zgłoszonej przez Polskę na konferencji generalnej UNESCO. W pierwszych dniach sierpnia udała się do Florencji Hanna Grzesik — konserwator muzeum w Lublinie, a zarazem kierownik drugiej z kolei naszej ekipy.

☼ Biennale Sztuki Antycznej odbywające się w Bolonii — w tym roku poświęcone zostanie Giovanniemu Francesco Barbieriemu, który wszedł do historii malarstwa światowego jako Guercino. Przed dwoma laty minęła trzechsetna rocznica jego śmierci.

☼ We Francji dużą furorę robią wystawy malarza „naiwnego", Jana Kwiatkowskiego. Krytycy są jednomyślni: autentyzm, szczerość, odwaga, poezja.

☼ W budynku portu lotniczego Orly w Paryżu jest stale czynna wystawa malarska, którą mogą bezpłatnie oglądać pasażerowie, oczekujący na odlot samolotów.

☼ Pod hasłem „Kolor — forma — funkcja" w dniach od 15 sierpnia do 3 września odbył się VI Plener Koszaliński — Międzynarodowe Spotkanie Artystów i Teoretyków Sztuki „Osieki 68".

☼ 5 milionów dolarów chce uzyskać za swój obraz ekstrawagancki, jak zawsze, Salvador Dali. Ma to być portret jego żony, malowany na specjalnym drzewie w ciągu 3 lat, a mający naśladować styl Leonarda da Vinci. Teraz, aby uzyskać złudzenie trójwymiarowości, Dali przed malowaniem pokrywa płótno jajami much, dzięki czemu powstają na nim maleńkie punkciki.

Muzyka

☼ Wysoko ceniony w Skandynawii Jerzy Semkow podpisał ostatnio z dyrekcją Opery Królewskiej w Kopenhadze kontrakt przedłużający współpracę naszego dyrygenta z tym zespołem o jeszcze jeden rok. Jerzy Semkow jest już od 3 lat dyrektorem muzycznym tej placówki.

☼ Jury międzynarodowego konkursu kompozytorskiego fundacji „Gaudeamus" wyróżniło spośród 124 utworów nadesłanych z 23 krajów kompozycję Marka Stachowskiego z Krakowa pt. „Musica con une batuta del tam-tam".

☼ Po trzyletnim pobycie w Islandii wraca do kraju Bohdan Wodiczko, aby objąć kierownictwo artystyczne Wielkiej Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach. Na pożegnanie został w Islandii odznaczony „Orderem Sokoła".

☼ Kompozytor grecki Theodorakis, zwolniony w styczniu z więzienia pod naciskiem opinii światowej, znów jest poddany represjom. Tym razem zastosowano areszt domowy.

☼ W Wiedniu odnaleziono niedawno sonatę fortepianową Beethovena, która zaginęła półtora wieku temu. Jedyny znany egzemplarz z 80 wydrukowanych w 1815 r. Jest to przerobiony na sonatę utwór „Trio na instrumenty smyczkowe Es-dur".

☼ Japońska orkiestra filharmoniczna z Tokio przyznała Igorowi Markiewiczowi tytuł „Zasłużonego szefa", co w tamtejszym języku jest niemal równoznaczne z tytułem doktora honoris causa.

☼ Polski zespół „Capella Bydgostiensis pro Musica Antiqua" występował z wielkim powodzeniem w Jugosławii, m.in. w Belgradzie i Sarajewie.

Film

☼ Monachijski krytyk filmowy, 29 letni Rudolf Thome, zrealizował film pt. „Detektywi", który uznano od razu za wydarzenie w „chudej" na ogół kinematografii zachodnioniemieckiej. Dwaj bohaterowie filmu, „detektywi", ukazani zostali jako osobnicy całkowicie amoralni, kierujący się wyłącznie własnym interesem, równie bezwzględni jak ci, których powinni oddać w ręce sprawiedliwości.

☼ W sierpniu w zachodnioniemieckiej telewizji pokazano film dokumentalny Michała Romma „Zwykły faszyzm". Środowiska postępowe przyjęły film z zainteresowaniem, wysoko oceniając jego walory ideowe i artystyczne. Natomiast gwałtownie zaatakowali utwór Romma neofaszyści.

☼ Słynna aktorka brytyjska, Vanessa Redgrave, aktywnie działa w ruchu przeciwników agresji amerykańskiej w Wietnamie. Niedawno wzięła ona udział w demonstracji na Trafalgar Square w Londynie, a także pod ambasadą USA w tym mieście, krocząc na czele pochodu.

☼ Po niedawnym filmie w reżyserii Federico Felliniego, Louisa Malle'a i Rogera Vadima „Tre passi nel delirio", według „Opowieści niezwykłych" Edgara Allana Poe, zostaną przeniesione na ekran następne jego dwa opowiadania — „Złoty żuk" i „Podłużna szkatułka".

☼ W przyspieszonym tempie nakręcono w Berlinie zachodnim „Sonderkommando am Synai", który jest gloryfikacją armii izraelskiej.

☼ Telewizja francuska wyświetliła w roku ub. 347 filmów, w tym 150 krajowych. Za filmy amerykańskie trzeba płacić od 10 do 100 tys. franków.

☼ Pod koniec września na festiwalu w Sorrento odbędzie się prapremiera nowego dzieła filmowego Ingmara Bergmana „Hańba", które rzekomo ma być rewelacją, a jednocześnie oburzać świętoszków.

☼ Telewizja NRD nakręciła (był już w naszej TV) niezwykle interesujący film złożony z czterech odcinków, pt. „Piloci w piżamach" — znanej spółki autorskiej Scheumanna i Heynowskiego, nakręcony w obozie dla zestrzelonych nad północnym Wietnamem pilotów amerykańskich.

Claudia Cardinale

K. Westfal: Droga w Dysie, olej

15 sierpnia br. zmarł w Lublinie Karol Westfal, malarz, rysownik, pedagog. Urodzony w 1874 r. w Zgierzu, studia artystyczne odbywał w Warszawskiej Szkole Rysunkowej w latach 1891—96 (w pracowni Wojciecha Gersona), w Monachium i Paryżu. Ponad czterdzieści lat pracował w szkolnictwie Tomaszowa Maz., Kalisza oraz Lublina, gdzie wykładał rysunek i kaligrafię w Szkole Handlowej Vetterów. Był jednym z założycieli Związku Artystów Plastyków w Lublinie w 1926 r., brał udział w licznych wystawach krajowych, otrzymywał nagrody i wyróżnienia. Aktywnie uczestniczył w powojennym życiu artystycznym Lublina. W roku 1952 wraz z Dylewskim i Wiercieńskim miał wystawę retrospektywną w salach SWA. Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, a w 1954 r. — Nagrodę Miasta Lublina. Jego prace — pejzaże, martwe natury, portrety — stylistycznie związane z ubiegłowiecznym realizmem, a tematycznie głównie z Lubelszczyzną, znajdują się w Muzeum Lubelskim i u osób prywatnych.

Notes „Kameny"

CZECHOSŁOWACJA I MY

Józef Barecki

CZYTELNICY „Kameny" znają zapewne z prasy, radia i telewizji wiele materiałów, związanych z ostatnimi wydarzeniami w Czechosłowacji. Nie chcę powtarzać znanych już faktów, zaś na szeroką analizę tła, przebiegu i celów czechosłowackiej ewolucji politycznej ostatnich miesięcy nie mam miejsca. W tej sytuacji chcę się ograniczyć do omówienia podstawowych motywów naszego zaangażowania w problemy, które nabrzmiały w Czechosłowacji, do podkreślenia w naszym działaniu polskiej racji stanu.

Wojska polskie, zresztą w symbolicznej ilości, znalazły się w Czechosłowacji z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze — ewolucja polityczna w Czechosłowacji przybrała taki charakter, że realna stała się groźba zmiany ustroju tego kraju. Była to swego rodzaju c i c h a kontrrewolucja, równie jednak brzemienna w skutki, co kontrrewolucja gwałtowna.

Atak przeciwko s o c j a l i z m o w i w Czechosłowacji rozwinął się na wielu frontach. Rozległy się żądania legalizacji partii burżuazyjnych i poczęły powstawać ich zawiązki, zaczęto przestawiać życie polityczne i gospodarkę na tory kapitalistycznej wolnej gry sił, puszczony został w ruch mechanizm dezorientacji opinii publicznej, o likwidacji socjalizmu mówiło się już bez żadnych osłonek.

Z powodzi faktów warto tu przypomnieć jeden, charakterystyczny dla ostatniego okresu, w którym reakcji wydawało się, że jej zwycięstwo jest już bliskie i nie ma potrzeby owijania swych poglądów w bawełnę czczych deklaracji o socjalizmie. W lipcu w rozgłośni bawarskiego radia w Niemczech zachodnich znaleźli się dwaj czołowi działacze polityczni CSRS, przewodniczący związku literatów czechosłowackich, E. Goldstuecker i dyrektor praskiego Instytutu Polityki Międzynarodowej i Gospodarki, prof. A. Snejdarek.

Jak panowie widzicie rozwój sytuacji w wypadku, gdyby w wyniku demokratyzacji socjalizm w Czechosłowacji został zakwestionowany i partii komunistycznej władza wymknęła się z rąk...? — zapytano gości.

W pytaniu zadanym czechosłowackim politykom pojęcie „demokratyzacja" przeciwstawione zostało socjalizmowi i partii komunistycznej, określiło więc w istocie proces, który z demokratyzacją nie ma nic wspólnego. Zrozumieli to dobrze zapytani i zgodnie z intencjami pytających odpowiedzieli.

E. Goldstuecker: *Stoimy u progu wielkiego, długiego procesu i nie chcielibyśmy, aby w tym procesie wszystko natychmiast się wykrystalizowało. Chcielibyśmy, aby ten proces doszedł aż do granic swoich możliwości... W Czechosłowacji po raz pierwszy my, komuniści, możemy urzeczywistnić stary program socjaldemokracji...*

Rzecz nie wymaga komentarzy, po raz pierwszy bowiem znalazł się komunista, który bez zająknięcia stwierdził, że jego marzeniem jest zrealizować program socjaldemokracji. Socjaldemokracja nie od dziś znajduje się u władzy w wielu krajach Europy z Niemcami zachodnimi na czele, a jednak w niczym to nie zmieniło kapitalistycznej rzeczywistości tych krajów.

Co naprawdę E. Goldstuecker miał na myśli, dopowiedział prof. A. Snejdarek: *W Czechosłowacji istnieć będą dwa systemy, kapitalistyczny i socjalistyczny. Jedno jest pewne, dwa istniejące systemy będą na siebie wzajemnie wpływały. Nie jestem pewien, czy dojdzie do porozumienia, ponieważ chodzi nie tylko o porozumienie* (podziwiać ten dyplomatyczny język) *ale o pewien proces wzajemności wpływów. Te dwa kierunki idą równolegle. I który wreszcie zwycięży — na to trudno dziś odpowiedzieć.*

Rozwój sytuacji w Czechosłowacji odpowiadał jednoznacznie: wypadki zmierzały do osłabienia socjalizmu i w konsekwencji do zastąpienia go starymi kapitalistycznymi porządkami.

Powstało więc zjawisko o międzynarodowym znaczeniu. Każda kontrrewolucja jest z punktu widzenia interesów narodu, któremu zagraża, jak i z uwagi na losy ludzkości — procesem negatywnym. Cofa ona postępowe, a więc niezbędne przemiany w życiu społeczeństw, ogranicza wolność, knebluje demokrację, przekreśla to wszystko, co ustrój socjalistyczny dał ludziom pracy. Kontrrewolucja ma negatywny wpływ nie tylko na życie kraju, w którym występuje. Osłabia ona międzynarodowe pozycje socjalizmu. Czy wobec zagrożenia jednego państwa socjalistycznego inne bratnie kraje mogą pozostać bierne?

Wobec historii ponosi się odpowiedzialność nie tylko za podjęte czyny, ale także za ich zaniechanie. Burżuazja jest solidarna i udziela sobie bez zastrzeżeń pomocy, gdy gdzieś słabnie jej ogniwo, gdy siły postępu grożą jej panowaniu.

Czy klasa robotnicza, rządy socjalistyczne mogą się bezczynnie przypatrywać, jeśli następuje proces odwrotny?

I drugi motyw — wydarzenia czechosłowackie zagroziły nie tylko pozycjom socjalizmu, ale i b e z p i e c z e ń s t w u naszych krajów, w tym także bezpieczeństwu Polski. Chodzi w tym wypadku o plany zachodnich Niemiec, o to, że czechosłowacka ewolucja odbywała się także, a może przede wszystkim, w interesie militaryzmu zachodnioniemieckiego, że jej zwycięstwo pozwoliłoby Niemcom zachodnim zrealizować swą politykę zmierzającą do zmiany status quo w Europie.

Powinniśmy wyraźnie oświadczyć — pisał w „Rudym Pravie" dr L. Liska, — *że stabilizacja istniejącej sytuacji w Europie w żadnym razie nie oznacza niezmienności status quo, zwłaszcza jeśli chodzi o problem niemiecki.*

Nie trzeba tu się niczego domyślać.

W Czechosłowacji nadeszła godzina prawdy — stwierdził po powrocie z tego kraju jeden z przywódców zachodnioniemieckich przesiedleńców, dr W. Bretholz. — *Skłania ona stronę czechosłowacką do wyciągnięcia wniosków, że droga, którą poszła ona po roku 1945 — łącznie z wysiedleniem Niemców sudeckich — była niesłuszna i błędna.*

W prasie czechosłowackiej pisano, że *nie ma innego narodu, który by stał tak blisko przyzwyczajeń życiowych Czechów i Słowaków, ich kulturalnych spraw, ich codziennego życia — jak naród niemiecki*, a politycy czechosłowaccy otwarcie oświadczali, że dotychczasowa polityka ich kraju wobec Niemiec zachodnich musi ulec zmianie.

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby zrozumieć kluczowe pod względem strategicznym położenie Czechosłowacji i jej decydujące znaczenie dla bezpieczeństwa Polski. Czechosłowacja była jedną z pierwszych ofiar Hitlera. Jej zabór umożliwił następnie Niemcom zaatakowanie Polski. Z terytorium Czechosłowacji wyszło w 1939 roku natarcie armii gen. Lista, które odcięło od Polski całe południe.

Dziś Niemcy zachodnie nadal podtrzymują swoje pretensje terytorialne. *Nasze żądania terytorialne* — oświadczył b. minister obrony, dziś minister do spraw przesiedleńców, von Hassel — *sięgają dalej, niż do linii Odry i Nysy. Chcemy z powrotem posiąść tereny dawnego panowania niemieckiego...*

To, czego nie udało się Niemcom osiągnąć przy pomocy agresji zbrojnej, chcieli urzeczywistnić drogą pokojową. Wyłuskanie Czechosłowacji ze wspólnoty państw socjalistycznych i Układu Warszawskiego otwierało im drogę do nieograniczonej penetracji Wschodu.

Wyjście Czechosłowacji z paktu warszawskiego — pisała kilka dni temu „National Zeitung" — *otworzyłoby nam europejską flankę południowo-wschodnią dla dalszego postępu polityczno-strategicznego. W takiej sytuacji Węgry znalazłyby się w coraz większej izolacji między przyjaznymi nam siłami w Rumunii i Jugosławii. W procesie tym wyprowadzenie Bułgarii z paktu warszawskiego byłoby już tylko kwestią czasu. W ten sposób pozostałe państwa bloku wschodniego od flanki południowo-wschodniej znalazłyby się w kleszczach.*

Jasne? Jasne, ale j u ż niewykonalne. „National Zeitung" napisała te słowa w chwili, kiedy nasze wojska w Czechosłowacji przekreśliły tego typu rachuby.

W ostatniej wojnie my, Polacy, straciliśmy 6 milionów zabitych, nasz kraj został doszczętnie zniszczony. Kto może się zgodzić, aby te siły, które nie jeden raz próbowały zgotować narodowi polskiemu krwawy los, jeszcze raz mu zagroziły? Który polityk miałby prawo czekać z założonymi rękami, aż kraj, za który odpowiada, znowu zostanie okrążony, znowu znajdzie się w kleszczach, znowu stanie na krawędzi totalnej zagłady?

Przytaczałem w dzisiejszym notesie wiele poglądów i opinii. Na zakończenie jeszcze jeden głos. Po wkroczeniu wojsk sojuszniczych do Czechosłowacji konserwatywny dziennik angielski „Daily Express" tak pisał:

Najlepszą nadzieją na pokój jest utrzymanie stałej równowagi sił, a Czechosłowacja naruszyła tę równowagę. Bardzo możliwe, że kiedy historycy będą oceniali akcję krajów Układu Warszawskiego wobec Czechosłowacji to zdecydują, że w ten sposób zapobieżono groźbie europejskiej wojny.

1938—1968 **Rolnictwo**

Przed V Zjazdem PZPR

MÓWIONO o nas przed wojną: Polska to jak obwarzanek, ma coś niecoś wokół, ale w środku pusto. Było w tym, niestety, dużo prawdy. Dla mieszkańców woj. lubelskiego szczególnie przykrej, bo właśnie ono stanowiło sam środek tego sanacyjnego obwarzanka. Dla odmiany Lublin nazywany był największą wsią w Polsce, bo ani jego zabudowa, ani rola gospodarcza w państwie, ani narzucony przez okoliczne ziemiaństwo styl życia, ani jakiekolwiek perspektywy nie rokowały miastu żadnego awansu.

Pod naciskiem mas ludowych Sejm Polski przedwojennej już w 1919 r. uchwalił ustawę o reformie rolnej, zresztą w założeniu już ograniczoną. A realizacja, wciąż hamowana przez obszarników, wlokła się żółwim tempem. W rezultacie w ciągu 20 lat rozparcelowano w województwie zaledwie 13 tys. ha. W dodatku tworzono gospodarstwa o powierzchni zaledwie 2 ha (przeciętnie), co z góry skazywało je na śmierć naturalną.

W wyniku zapowiedzianej Manifestem PKWN reformy rolnej w ciągu 3 tylko lat rozparcelowano 823 majątki obszarnicze o łącznej powierzchni 324 tys. ha, tworząc 77,2 tys. nowych gospodarstw o średniej powierzchni 4,5 ha, a ponadto 40,7 tys. gospodarstw karłowatych powiększono średnio o 1,7 ha. Było to równocześnie wyrazem sprawiedliwości historycznej jak i konieczności ekonomicznej, a spowodowało całkowitą zmianę stosunków polityczno-społecznych na wsi.

Drugim najważniejszym, obok zmiany stosunków własnościowych, elementem polityki rolnej Polski Ludowej stała się sprawa podniesienia wydajności plonów. Startowaliśmy tu nie od niskiego stanu przedwojennego, ale od jeszcze znacznie niższego — w wyniku wojny zniszczonych zostało na wsi 60 tys. budynków mieszkalnych i gospodarczych, wyginęło 62 proc. trzody chlewnej, 55 proc. owiec, 54 proc. bydła rogatego. Wskutek braku nawozów sztucznych i naturalnych kultura rolna cofnęła się o wiele lat.

A jednak — mimo że właśnie w rolnictwie zarówno zwiększenie liczby inwentarza jak i wdrożenie nowoczesnych zabiegów agrotechnicznych wymaga wielu lat — możemy z zadowoleniem patrzeć na różnice. Oto porównanie wysokości plonów (w kwintalach z hektara). Pierwsza liczba odnosi się do roku 1938 (wyjątkowo dobrego), druga do 1967 (przeciętnego), pszenica — 12,5 i 19,6, żyto — 11,4 i 15,1, jęczmień 11,6 i 22,2, owies — 12,5 i 17,1, ziemniaki — 139 i 177, buraki cukrowe 194 i 345. Te zestawienia mówią same za siebie.

Jednym z głównych czynników rozwoju stały się kółka rolnicze, tworzone od 1956 r. Jest ich obecnie 3 267, a zrzeszają 182 961 członków. Kółka te posiadały na koniec ub. r. 4 852 traktory, które w tymże roku przepracowały 4,7 mln godzin. Ponadto kółka posiadają m.in. 3 285 ciągników i 3 601 agregatów omłotowych. Przed wojną w całym województwie nie było nawet 50 traktorów. Warto może dodać, że na zakup traktorów i maszyn rolniczych zarówno kółka jak i chłopi indywidualni wydali w roku ub. 486 mln zł. Suma olbrzymia, a jednak wszystkim się opłaca.

Drugim ważnym czynnikiem jest stosowanie nowoczesnych nawozów sztucznych. Przedwojenny rocznik statystyczny nic na ten temat nie podaje, chociaż z innych źródeł wiadomo, że zużycie nie przekraczało (w czystym składniku) 10 kg/ha. Jeszcze w 1958 r. wynosiło ono tylko 24 kg/ha, w ubiegłym już 56,9 kg/ha, co jednak w dalszym ciągu uważamy za niewystarczające.

W procesie intensyfikacji rolnictwa jednym z ważnych czynników są także melioracje. W ciągu 19 lat międzywojennych objęły one w całej Polsce 548 tys. ha — po wojnie tylko na Lubelszczyźnie 211 tys. ha, a także przeprowadzono zagospodarowanie pomelioracyjne na 127 tys. ha. W poprzedniej pięciolatce wydano na te cele 1 247 mln zł, plan bieżącej przewiduje prawie 2 miliardy zł.

Mimo olbrzymich strat wojennych, o czym była mowa wyżej, dzisiaj liczba zwierząt gospodarskich jest znacznie wyższa, chociaż obszar województwa jest o blisko 2 tys. ha mniejszy. Tak więc zamiast 722 tys. sztuk trzody chlewnej mamy 1 282 tys., zamiast 749 tys. sztuk bydła jest obecnie 914 tys. sztuk, liczba owiec wzrosła z 95 do 186 tys. sztuk. Mamy natomiast mniej koni (o 10 proc.), ale to jest zjawisko pozytywne. Rocznik statystyczny z 1939 r. podaje na str. 93, że mleczność krów w województwie wynosiła 2 958 l na sztukę. Bardzo dużo — ale następna rubryka wyjaśnia, że chodziło zaledwie o 7 tys. sztuk specjalnych. Nieco wyżej zaś jest uwaga, że przeciętna produkcja mleka na 1 ha użytków rolnych wynosiła w województwach wschodnich 200 litrów. Ponieważ produkcja mleka w roku ub. wyniosła 1,2 mld l, identyczne przeliczenie daje obecnie 483 litry.

Jednym ze współczesnych bogactw Lubelszczyzny jest tytoń. W ostatnim przed wojną roku plantacje tej rośliny zajmowały tylko 1 569 ha, ale uprawiano jedynie najgorszy gatunek — machorkę. Zbiory ledwo przekraczały 2 tys. ton liści. Jakże odmienna jest sytuacja dzisiaj. Lubelszczyzna jest największym producentem tytoniu, dając do 30 proc. zbiorów w całym kraju. Plantacje zajmują 13,5 tys. ha. Machorkę uprawia się dziś jedynie na 1,5 tys. ha — resztę zajmują jasne, wysokogatunkowe odmiany. Co roku ok. 60 tys. plantatorów otrzymuje za liście kilkaset mln zł. Więcej — od kilku lat eksportujemy w każdym sezonie niemal tyle tytoniu, ile przed wojną produkowało całe województwo.

Podobnie przedstawia się sprawa z drugą, również dochodową dla rolników rośliną przemysłową — burakami cukrowymi. Powierzchnia plantacji przed 30 laty wynosiła 14 tys. ha, obecnie ponad 57 tys. ha — z tą różnicą, że przedtem był to przywilej prawie wyłącznie obszarników. Ale jeszcze większa różnica występuje przy porównaniu produkcji cukru, a to dzięki plonom większym aż o 78 proc. Tak więc w ostatniej kampanii przedwojennej Lubelszczyzna wyprodukowała 49,5 tys. ton cukru — w 1967 r. już 223,5 tys. ton, a przecież musieliśmy wywieźć do przerobu w innych województwach 220 tys. kwintali buraków. Za uprawę buraka w roku ub. 131 tys. plantatorów zainkasowało z kasy państwowej 1 281 mln zł, nie licząc wydanych bezpłatnie 6,5 tys. ton wysłodków. Rzecz nie do pogardzenia.

Mimo że brak tu jakichkolwiek danych porównawczych, warto dodać, że wartość produkcji globalnej rolnictwa lubelskiego w roku ub. ocenia się na 22 895 mln zł, co przecież jest sumą imponującą. To prawda, że wartość produkcji przemysłowej była wyższa — 27 616 mln zł. Nie zmienia to jednak faktu, że nadal jesteśmy i przez wiele lat jeszcze pozostaniemy województwem głównie rolniczym — w tej dziedzinie pracuje stosunkowo najwięcej ludzi, udział naszego rolnictwa w produkcji rolniczej kraju jest znacznie wyższy niż produkcji przemysłowej. I faktem jest również, że wprawdzie nie jesteśmy jeszcze w pełni zadowoleni z poziomu naszego rolnictwa, że zużycie nawozów sztucznych jest wciąż zbyt małe, mechanizacja jeszcze niewystarczająca, plony znacznie wyższe niż przed wojną, chociaż niższe niż być mogą. Ale równocześnie trzeba odnotować, że ostatnio te niedociągnięcia szybko nadrabiamy. Świadczy o tym fakt, że mimo surowszych u nas warunków meteorologicznych wartość produkcji globalnej w 1967 r. była o 3,1 proc. wyższa niż w roku poprzednim, podczas gdy przeciętna dla całego kraju wyniosła 2,3 proc.

W wyniku tych i innych czynników stosunki na wsi zmieniły się całkowicie. Obliczano, że przed wojną na wsi lubelskiej było ok. 150 tys. bezrobotnych. Dziś zjawisko to nie istnieje, odwrotnie — wieś stale odczuwa brak dostatecznej liczby rąk do pracy mimo zmechanizowania znacznej części robót, a przede wszystkim tych najcięższych. O przemyśle, który wchłonął całkowicie nadwyżkę rąk do pracy, będzie jeszcze mowa osobno. Tu trzeba stwierdzić, że w 1938 r. na wsi mieszkało 81 proc. ludności, obecnie tylko 72 proc. A jednak produkcja rolnictwa wzrosła bardzo pokaźnie, co w połączeniu z bardziej bezpośrednimi, osobistymi kontaktami z miastem spowodowało ogólnie znaczny wzrost poziomu życia materialnego i duchowego na wsi.

Przedłużeniem produkcji rolniczej jest przemysł spożywczy. Tuż przed wojną pracowało w tej dziedzinie 5 990 osób, obecnie ok. 130 tys. Wartość produkcji globalnej przed wojną 85,5 mln zł przedwojennych, obecnie ponad 10 miliardów zł.

Jerzy Dostatni

Fot. Roman Sieńko

Tadeusz Jeziorski

Dyskusja nad Tezami

Problemy bibliotek

NOWE stosunki polityczno-społeczne, zmiany w strukturze socjalno-ekonomicznej i w obliczu kulturalnym podstawowych środowisk społecznych określają kierunki działalności kulturalno-oświatowej. Działalność ta i upowszechniane przez nią treści nie występują w izolacji, lecz w ścisłym związku z zadaniami wychowania obywatelskiego, z rozwojem kultury pracy i współżycia, z rozwojem ideowym i moralnym naszego społeczeństwa. Celem działalności kulturalno-oświatowej jest zaspokajanie i rozwijanie duchowych potrzeb człowieka: takie kształtowanie jego kultury duchowej, by aktywnie wpływał na rozwój socjalistycznych stosunków między ludźmi, by rosło poczucie współodpowiedzialności za dobro ogółu i rozwój życia społecznego, za kierunek i tempo przemian społecznych. Chodzi więc o kształtowanie określonych postaw, o wszechstronny rozwój osobowości ludzkiej, tworzenie bogactwa kultury duchowej.

Te wszystkie momenty wyznaczają program działalności kulturalno-oświatowej bibliotek publicznych. Czytelnictwo stanowi dziś integralną część pracy kulturalno-oświatowej, występując jako samoistna forma kształcenia, bądź też spełniając funkcje pomocnicze. Pojęcie czytelnictwa rozszerza się zresztą coraz bardziej. Dawniej było ono związane głównie z książką, obecnie występuje niemal zawsze w formie zróżnicowanej, obejmuje kontakt z czasopismami i prasą codzienną, co rozszerzyło niepomiernie społeczne oddziaływanie słowa drukowanego. Bibliotekarzom przypadają więc poważne zadania w dziedzinie upowszechniania książek o problematyce społeczno-politycznej, jak również literatury pięknej, politycznie zaangażowanej, a tym samym w zakresie wychowania obywateli, kształtowania socjalistycznej świadomości, podwyższania kwalifikacji zawodowych, rozwijania wiedzy ogólnej i poziomu kulturalnego.

Biblioteki publiczne Lubelszczyzny w ostatnich latach notują poważne osiągnięcia. Nastąpił dalszy rozwój, umocnienie organizacyjne oraz rozszerzenie ich działalności oświatowej. Sieć bibliotek publicznych na wsi jest prawie kompletna. Potwierdzeniem tego są następujące dane: w 1945 r. bibliotek było 21, punktów bibliotecznych — 95, woluminów — 46 390, a w 1967 r. bibliotek mieliśmy 585, punktów bibliotecznych — 2141, woluminów — 2 637 180.

Rozbudowano sieć filii i punktów bibliotecznych. W poważnym stopniu udoskonalono organizację pracy, wprowadzono m.in. wolny dostęp do półek. Poprawiono strukturę księgozbiorów, głównie na rzecz literatury niebeletrystycznej (społeczno-politycznej, technicznej, rolniczej). Systematycznie wzrasta zasięg czytelnictwa (18,3 proc. w 1967 r. w stosunku do liczby mieszkańców). Obserwuje się zwiększenie liczby placówek, które stały się ośrodkami działalności oświatowej w swoim środowisku. Coraz bardziej i częściej biblioteki współpracują z organizacjami i stowarzyszeniami kulturalno-oświatowymi.

Osiągnięcia naszych bibliotek tym bardziej zasługują na podkreślenie, że zostały one uzyskane przy dość ograniczonych środkach finansowych, w stosunkowo trudnych warunkach lokalowych większości bibliotek.

Nie znaczy to, że sytuacja w zakresie działalności bibliotek publicznych w województwie jest całkowicie zadowalająca. Mamy jeszcze, obok bibliotek pracujących z dużym pożytkiem dla środowiska, biblioteki zaniedbane, mało aktywne.

Nowa rola książki i biblioteki, wynikająca z olbrzymiego wzrostu poziomu ogólnego wykształcenia społeczeństwa, stawia złożone zadania zarówno przed radami narodowymi jak i pracownikami bibliotek. Jednym z pierwszoplanowych zadań jest dalsze umacnianie i korekta sieci bibliotek oraz organizacja punktów bibliotecznych. Poważny rozwój sieci bibliotek w powiatach (biblioteki małomiejskie, gromadzkie, filie i punkty biblioteczne) powoduje konieczność większej pomocy organizacyjnej i instrukcyjno-metodycznej. Wskazane byłoby przemyśleć możliwości zorganizowania bibliotek rejonowych, spełniających rolę ośrodków ponadgromadzkich. Mogłyby one powstać w oparciu o dotychczasowe, lepiej pracujące biblioteki gromadzkie. Pomagałyby one bibliotece powiatowej w zakresie opieki nad placówkami rejonu, służąc jednocześnie czytelnikom. Sprawa ta jest szczególnie ważna dla większych powiatów, na których terenie można byłoby utwo-

Dokończenie na str. 10

Henryk Zins

Problemy nauki

ROZDZIAŁ piąty Tez na Zjazd Partii wyraźnie jest nacechowany nowoczesnym sposobem patrzenia na zadania w dziedzinie rozwoju badań naukowych, oświaty i kultury. Od pierwszych słów tego tekstu przebija afirmacja roli nauki w rozwoju budownictwa socjalistycznego, docenienie jej przemożnego znaczenia we współczesnym świecie. Wśród warunków umożliwiających prawidłowy rozwój badań naukowych słusznie podkreślono właściwy dobór tematyki badań, sprawną organizację procesu badawczego oraz należyte wyposażenie kadrowe i materialne. Zaproszony przez redakcję „Kameny" do zabrania głosu w dyskusji nad Tezami KC PZPR na V Zjazd Partii, pragnę poruszyć kilka spraw związanych z zagadnieniem modernizacji warsztatów naukowych zwłaszcza w związku z poruszonym przez Tezy problemem wymiany informacji naukowej.

Mimo ogromnego wysiłku włożonego przez nasze państwo w odbudowę ze zniszczeń wojennych, a następnie rozbudowę warsztatów naukowych i placówek badawczych, pozostajemy w tyle w stosunku do wielu krajów europejskich pod względem nakładów na naukę, zarówno jeśli idzie o sumy łożone na finansowanie badań jak i uposażenie pracowników naukowych. Straty spowodowane przez wojnę, zagłada wielu placówek badawczych, laboratoriów i bibliotek, wymordowanie przez okupanta wielu uczonych, zahamowanie na 5 lat procesu szkolenia pracowników naukowych — to wszystko na wiele lat postawiło naukę polską w bardzo trudnej sytuacji. Musieliśmy niejednokrotnie zaczynać od początku tam, gdzie kraje, dla których los był łaskawszy, kontynuowały prace w od dawna dobrze urządzonych warsztatach naukowych. Imponujący i pełen wyrzeczeń rozmach budownictwa powojennego pozwolił na wielokrotne przewyższenie naszego przedwojennego potencjału naukowego, na stworzenie wielu nowych, nowocześnie wyposażonych pracowni i zakładów naukowych, szybkie pomnożenie kadry i dorobku naukowego. Dokładna analiza wykazuje jednak, że konieczne jest poważne zwiększenie nakładów państwowych na badania naukowe, co jedynie może zapewnić nam zajęcie odpowiedniego miejsca we współczesnym świecie. Potrzebna jest też sprawniejsza organizacja badań zarówno w uczelniach, jak i w placówkach PAN oraz instytutach resortowych, większa koncentracja środków i lepsze planowanie.

Obok poważnego zwiększenia nakładów na rozbudowę i modernizację warsztatów naukowych, należy zapewnić warunki dla ilościowego i jakościowego przyrostu kadry naukowej. Tezy na V Zjazd Partii mówią wyraźnie o konieczności stworzenia lepszych warunków rozwoju, młodej zwłaszcza kadry naukowej, na której barkach w dużym stopniu spoczywa ciężar pracy wychowawczej, podkreślają konieczność jej ideowego zaangażowania. Problem przyrostu kadry naukowej ma kluczowe znaczenie i od dawna jest przedmiotem troski władz uczelnianych, Polskiej Akademii Nauk, odpowiednich resortów i innych czynników partyjnych i państwowych. Stał się on szczególnie ostry w obliczu coraz liczniejszych zadań i obowiązków pracowników naukowych, wyżu demograficznego, konieczności powiększania liczby studentów na uczelniach, zwiększania liczby grup ćwiczeń, pracowni itd. W najtrudniejszych nieraz warunkach, obarczony licznymi obowiązkami naukowymi, wychowawczymi i dydaktycznymi musi młody pracownik naukowy łączyć swe różnorakie zadania i funkcje, przynaglany do tego terminami ukończenia pracy doktorskiej i widmem rotacji. Źródłem trudności jest również stosunkowo niskie uposażenie pracowników naukowych, na skutek czego powstaje często konieczność podejmowania dodatkowych prac, co oczywiście musi działać hamująco na tempo prowadzonych badań naukowych oraz ich jakość.

Źródłem trudności niektórych uniwersyteckich placówek naukowo-dydaktycznych jest sztywne uzależnianie przyrostu kadry naukowej od liczby zajęć dydaktycznych, co poważnie utrudnia prowadzenie zespołowych zwłaszcza badań i rozwijanie warsztatów naukowych. W warunkach ogromnej na całym świecie specjalizacji,

Dokończenie na str. 10

WALKA Z OBRAZEM

Ireneusz J. Kamiński

MALARZ ten nie należy do osób sentymentalnych i dlatego obawiam się, że mi nie wybaczy tych wstępnych zdań poprzedzających bliższe spojrzenie na jego twórczość. Decyduję się jednak na krótką inwokację do czytelników zainteresowanych sztuką współczesną, albowiem zjawisko, na które pragnę zwrócić uwagę, nosi cechy smutnej prawidłowości naszego życia artystycznego.

Proponuję więc odszukanie roczników czasopism społeczno-kulturalnych, które ukazywały się w latach 1956—1967, a następnie pobieżne choćby rzucenie okiem na znajdujące się w nich artykuły poświęcone plastyce krajowej. Kogo z malarzy lubelskich najczęściej wymieniają te publikacje? Nietrudno zauważyć, że obok Włodzimierza Borowskiego — Jana Ziemskiego. Statystyka ta straci swoją neutralność jeśli poinformuję dodatkowo o fakcie przyznania Ziemskiemu tegorocznej nagrody wojewódzkiej w dziedzinie plastyki — w dwanaście lat po pierwszej wystawie artysty z grupą „Zamek".

A więc Jan Ziemski. Postać tak mocno związana z wszelkimi ambitniejszymi poczynaniami lubelskiego środowiska plastycznego, że każdy, nawet najbardziej zdawkowy i tendencyjny szkic krytyczny o najnowszych dziejach tego środowiska, nie może jej pominąć. Zarazem jednak twórczość Ziemskiego tak dalece odbiega od tego, co w ostatnich latach określiło główne tendencje miejscowego malarstwa, że wyprowadzanie jakichkolwiek związków ideowych między nimi (poza grupą „Zamek") wydaje się zabiegiem co najmniej problematycznym, prawdę mówiąc — niemożliwym. Słowem, postać dwuznaczna, czy ja wiem, może persona non grata?! Tylko gdzie? Na pewno kiedyś, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w szerokim kręgu lubelskich postimpresjonistów, tłumaczących zainteresowania Ziemskiego informelem — nieumiejętnością „ludzkiego" malowania martwych natur i pejzaży. Na pewno w ówczesnym Oddziale ZPAP, którego renomowani członkowie, wychowani w co znakomitszych, pluszowych pracowniach, albo po prostu w domu rodzicielskim, obawiali się mocnego przeciągu, który niosąc nowe idee artystyczne narażał ich na chroniczny katar. A zresztą, czy można dziwić się takim reakcjom ludzi, dla których obraz i jego reguły kompozycyjno-kolorystyczne były jedyną prawdą sztuki, a tu nagle pojawił się malarz z uporem niszczący obraz jako celowo zorganizowaną, „przemyślaną" powierzchnię?

Zaczęło się wszystko w atmosferze ujmującej niewinności, jaką już wtedy, około 1955 roku, roztaczał oswojony surrealizm, coraz konsekwentniej, aczkolwiek nie bez trudności z jego strony wypierany z łożyska głównych nurtów sztuki współczesnej. Ziemski zrealizował cykl obrazów i szkiców rysunkowych, które ze względu na zastosowaną metodę budowania malarskiej wizji można było umieścić gdzieś w najodleglejszych od centrum rejonach surrealizmu. Pozbawione dość typowego dla tego kierunku napięcia dramatycznego, utrzymane w wyblakłej tonacji kolorystycznej, obce wewnętrznym konfliktom formalnym i symboliczno-treściowym, obłymi kształtami malowanych postaci sygnalizowały pozaartystyczną sferę inspiracji: literacką refleksję współczesnej nauki — prozę fantastyczno-naukową. Ziemski, żywo zainteresowany kosmonautyką i fizyką, namalował te obrazy rok przed wystrzeleniem pierwszego sputnika, czego, rzecz jasna, nie należy chrzcić mianem antycypacji.

Rok 1956 w twórczości Ziemskiego jest zasadniczym początkiem oddalania się malarza od iluzji obrazowej we wszystkich jej wymiarach i przejawach. Obserwujemy zdecydowaną zmianę orientacji — na rzecz informelu. Powstają serie małych obrazów o powierzchniach rozbitych na setki drobin, w niewielkim tylko stopniu zróżnicowanych pod względem wielkości, które układają się w niby to gwiezdne konstelacje, niby to w mikropejzaże piasku. Jak to trafnie zauważył Jerzy Ludwiński, „nie ma w nich nic z potężnych wybuchów materii, z gwałtownych spięć antagonistycznych struktur, nic z katastrofy, która zrodziła faszyzm". Niektóre przecież obrazy Ziemskiego z tej serii dysponują istotnym czynnikiem wyzwalania iluzji przestrzeni, mianowicie ruchem — wyznaczanym różnokierunkowymi układami całych ciągów owych drobin lub nawet dość szerokich pasm farby. Dopiero z czasem następuje takie rozbicie powierzchni, że zanikają granice pomiędzy cząstkami elementarnymi i ostatecznie mamy przed sobą coś, co przypomina kawał tynku. W świecie tego malarstwa stają się coraz bardziej niezrozumiałe uświęcone tradycją pojęcia: „kompozycja", „przestrzeń", „obraz".

Nie przypominam sobie, aby Ziemski próbował dojść do ostatecznych granic obrazowej negacji drogą, jaką wybrał Yves Klein, pokrywający powierzchnie płócien li tylko czystym błękitem lub złotem. Jestem nawet pewny, że nie myślał o tym. Ziemski posiada bowiem coś, co można określić twórczym instynktem samozachowawczym, który pozwala mu dojrzeć pustkę jeszcze w momencie, kiedy w niej się nie znalazł. A nie ulega przecież wątpliwości, że bezprzykładna w dziejach malarstwa wyprawa w bezkształtne i anonimowe przestrzenie materii, będąca przejawem heroizmu, ale i buty sztuki nowoczesnej, musiała skończyć się równie gwałtownie, jak się zaczęła. W pustce żyć nie sposób.

Ktoś może odczytać te słowa jako próbę dyskredydacji sensu informelowej wyprawy. Pomyłka. Informel był naturalną konsekwencją rozwoju malarstwa nowoczesnego. Jeśli nawet pewni krytycy nazwali go „antyklasycznym, antyrenesansowym, antyhumanistycznym", to jeszcze nie powód do przekreślenia jego niewątpliwych wartości artystyczno-poznawczych oraz tych, moralnych, które wiążą się z uświadomieniem twórcom niebezpieczeństw wolności bez granic.

Ewolucja informelowego malarstwa Ziemskiego — nie tylko zresztą jego — wykazuje zaskakującą zbieżność z kierunkiem penetracji fizyki cząstek elementarnych. Malarstwo tego artysty rozwijało się w ramach procesu rozbijania drobin farby na coraz mniejsze ziarna, a teoretycznie rzecz biorąc ciąg ten mógł trwać nieskończenie. W każdym następnym etapie pojawiała się nowa struktura, niejako nowa prawda — z rozłożenia na prostsze czynniki poprzedniej. Zbliżony proces można zaobserwować na obszarze fizyki. Zanim odkryto, że atomy są tworami złożonymi, uważano je za cząstki niepodzielne, a więc elementarne. Rozbicie atomu dostarczyło nowych cząstek elementarnych, które po dalszych badaniach również okazały się złożone. Odkryto mezony, hiperony i antycząstki. Rozpad mezonów dostarczył nowych cząstek... W tej chwili nie da się wykluczyć — twierdzi wybitny fizyk, prof. Rayski — że te najbardziej elementarne z elementarnych cząstki mogą być złożone z jeszcze prostszych składników.

Charakterystyczne, że ten atak nauki na cząstki elementarne zbiegł się w czasie z bujnym rozwojem informelu. Być może, jest to przypadkowy zbieg okoliczności, ale nie sposób wykluczyć związków istotnych.

W roku 1958 Ziemski tworzy pierwsze reliefowe struktury gipsowe o wyraźnej tektonice. Zbiera rozbiegane drobiny informelowego płótna w organiczne i aluzyjne kształty, których sugestie znaczeniowe są tak wielokierunkowe, że ostatecznie prowadzą do... reliefu. I to jest kres obrazu. Reliefy, są konkretnymi przedmiotami, które nic nie przedstawiają, nie są iluzją czegoś lub kogoś, posiadają im tylko właściwe i obiektywne cechy fizyczne — grubość, wagę, własną przestrzeń.

„Kompozycje" Ziemskiego okazały się — obok pokrewnych realizacji Hiszpanów Tapiesa, Quixarta oraz Borowskiego i Kierzkowskiego — zapowiedzią nowej tendencji w sztuce światowej. Na wystawie retrospektywnej artysty w listopadzie 1959 r. w salach lubelskiego CBWA, kiedy to Ziemski pokazał m.in. reliefy, niewielu było przedstawicieli lokalnego środowiska plastycznego: pofatygowali się natomiast z Warszawy Henryk Stażewski i Alfred Lenica. Dziewięć lat później na łamach „Współczesności" Hanna Ptaszkowska tak zrekapitulowała wystąpienie Ziemskiego i towarzyszy w okresie 1958—1959:

Sztuka strukturalna zaistniała w Polsce w dwóch rzutach. Pierwsze próby tego rodzaju robione były przez artystów z lubelskiej grupy „Zamek", przede wszystkim Włodzimierza Borowskiego i Jana Ziemskiego. Były to próby samodzielne i równoległe w czasie do analogicznych poszukiwań na Zachodzie. Był to ostatni kierunek, który w Polsce określił się i uzasadnił teoretycznie. Dodajmy: między innymi dzięki działalności teoretycznej Jerzego Ludwińskiego, kierującego „Strukturami", dodatkiem plastycznym „Kameny", który ukazywał się w 1959 r.

W okresie istnienia „Zamku" Ziemski należał do czołowych postaci ugrupowania, biorąc z nim udział w wystawach warszawskich i krakowskich. W r. 1959 wraz z W. Borowskim i T. Dzieduszyckim miał wystawę w Paryżu, w galerii „Ranelagh de cinema". W roku ubiegłym eksponowano jego prace w Skandynawii...

Po doświadczeniach nadrealizmu, informelu i po kilkuletniej poważnej przygodzie malarstwa strukturalnego zwrócił Ziemski uwagę na plastyczne możliwości organizowania przestrzeni. Ten nowy jego program dojrzewał w warunkach międzynarodowego pleneru w Osiekach, a pewne konkretyzacje ujawniły się na I Biennale Form Przestrzennych w Elblągu w 1965 r. w którym uczestniczył. Jego obecne „Kompozycje", zbudowane z łuków napiętych na płaszczyźnie, są rezultatem wiedzy fizyka i intuicji artysty. Wykorzystują prawa optyki w celu spowodowania aktu estetycznego. Bo o fakcie estetycznym trudno mówić wobec dzieł zawierających potencjalne możliwości wielu różnych układów, ujawniających się w zależności od punktu widzenia odbiorcy. Jedynie mechanizm działania tych „obrazów" poddaje się opisowi, a nie one same. Widz przestaje być biernym konsumentem i otrzymuje rangę współtwórcy. Myśl twórcza Ziemskiego wykazuje więc pokrewieństwo z programem artystów mediolańskich oraz padewskich, skupionych w grupie „N". Struktura formalna realizacji Ziemskiego jest przy tym całkowicie odrębna.

Niedawno zaproponowano Ziemskiemu urządzenie wystawy w nowojorskim Museum Guggenheima.

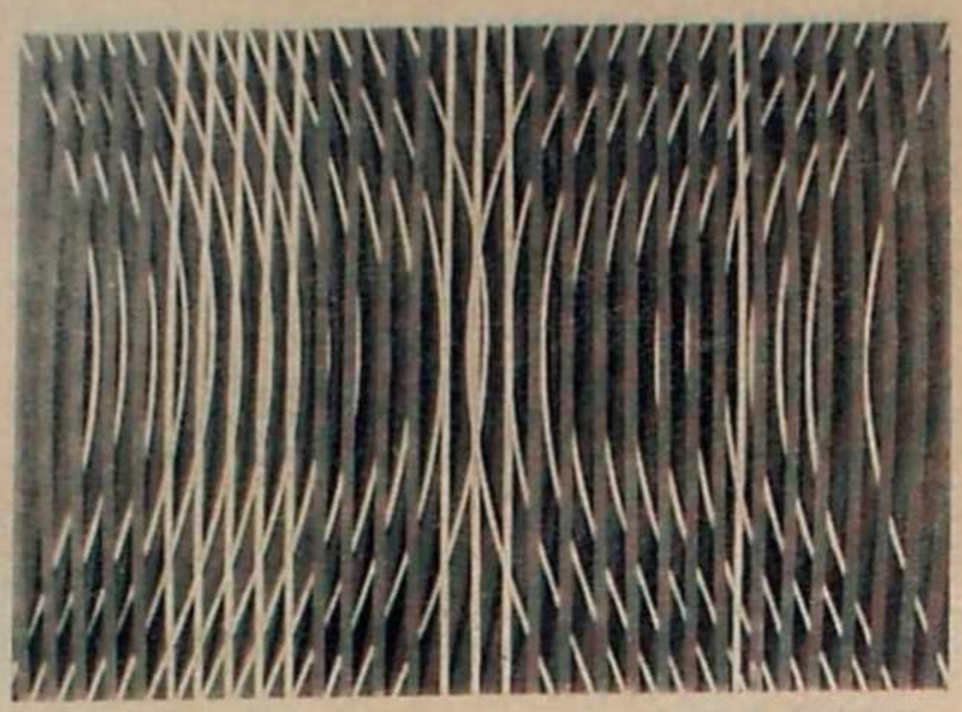

„Kompozycja", 1966 Fot. A. Polakowski

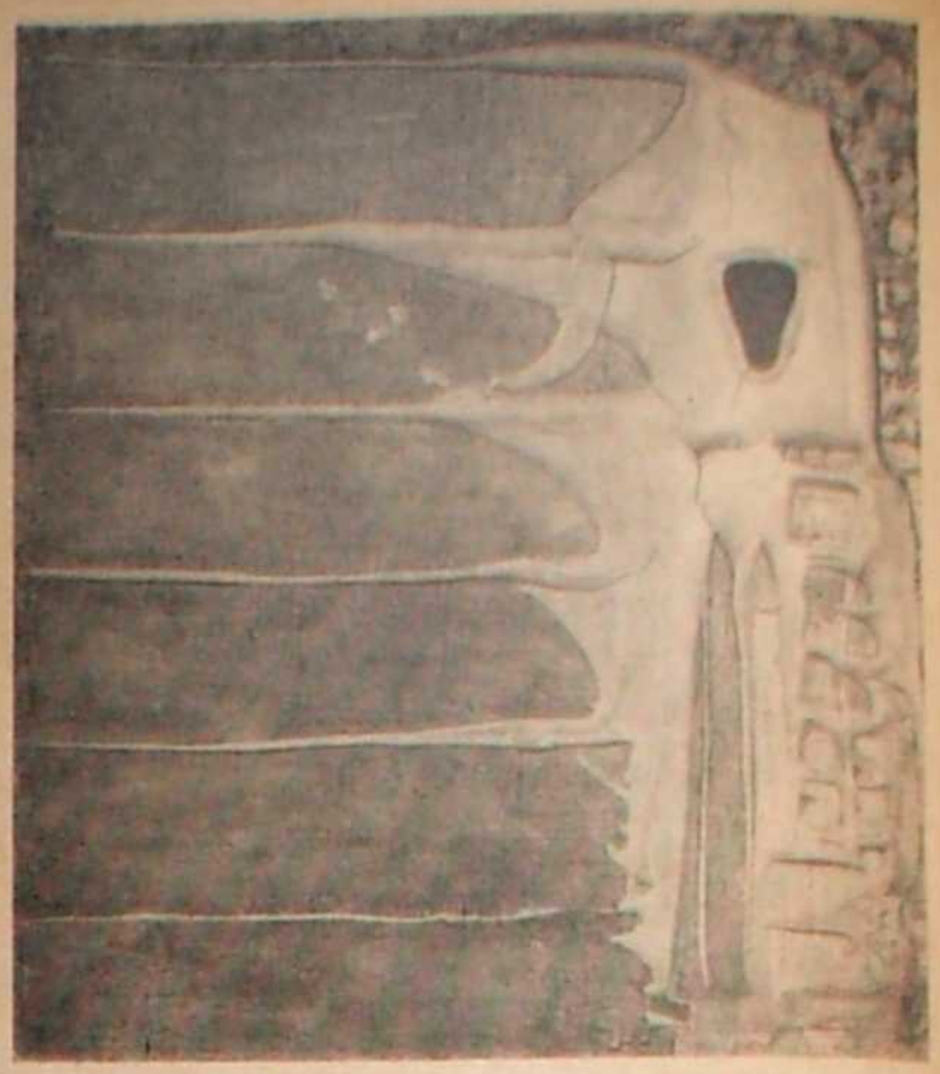

„Formura", 1959 Fot. Tadeusz Rolke

Prawdziwi ludzie z Soliny

Dokończenie ze str. 1

tacji? Może taka praca łatwiejsza, ale za to nudna, człowiek idzie do roboty i coraz spogląda na zegarek, czy daleko do fajrantu. Ja bym nie wytrzymał takiej monotonii aż do emerytury. W „Hydrobudowie" za każdym razem budujemy coś innego, niepowtarzalnego. Idąc na nową inwestycję jestem mądrzejszy o doświadczenia z tej starej i choć nie kopiujemy roboty, to jednak odczuwam, że zapas mojej wiedzy fachowej jest większy. Na budowach typowych nabywa się z czasem rutyny, ale nie wiedzy. Że co? Niewygody, prymitywne warunki bytowe? — Lucjan Zachor, starszy majster „Hydrobudowy" śmieje się:

— Mieszka pan u nas w hotelu robotniczym? No, właśnie. Bieżąca woda, ciepła i zimna, co kilka pokoi ubikacja i prysznic. Jak budowniczowie odejdą, nasze osiedle zamieni się w wielki ośrodek turystyczny. Dziś już nie te czasy, żeby marznąć w nieopalanych barakach. Dziś nawet ci, co mieszkają w barakach, mają nieraz lepsze warunki niż w domu, choć oczywiście jeden hotel robotniczy urządzony jest dobrze, a inny gorzej. W każdym razie warunki bytowe to już nie problem.

Wie pan, z czym jest najgorzej? Z utrzymaniem w normie życia rodzinnego. Ożeniłem się młodo, w 1950 roku, żona pracowała na tej samej budowie, co ja, w księgowości. Przydzielono nam wspólny pokój w hotelu robotniczym. Na ówczesne czasy rarytas, prawda? Byliśmy więc bardzo zadowoleni. Skończyła się jedna budowa, przenieśliśmy się na drugą. Tak było przez dziesięć lat. Aż w roku 1960 ja poszedłem do Kluczewa, a dla żony nie było tam miejsca. Dopiero w roku 1963 los, a raczej personalni, złączyli nas: znaleźliśmy się razem w Kołobrzegu. Gdy w 1964 zaproponowano mi wyjazd do Soliny, postawiłem warunek: tylko z żoną. Mieli trochę komplikacji, bo tu jak raz znalazło się dużo kobiet, wreszcie jednak była praca i dla żony. Żyliśmy tu trzy lata razem, dopiero jesienią 1967 przeniesiono mnie na budowę kaskady wodnej w Rzeszowie. Tak, ja tu już nie pracuję, przyjechałem tylko na otwarcie hydroelektrowni, a że się ze wszystkimi witam, to po starej znajomości, bo byłem tu przewodniczącym rady zakładowej.

Dom chciałem mieć zawsze, kto jednak da takiemu, jak ja? Niby potrzebny, niby wszyscy popierają moje starania, lecz zanim dojdzie co do czego jadę w inne miejsce, więc dotychczasowi rozmówcy doradzają: „niech pan poprosi tam, my już nie możemy, przecież pan przestał pracować u nas. Dlaczego mamy panu dawać mieszkanie"? Nie mogę odmówić racji takiemu rozumowaniu, ale przecież w końcu gdzieś muszę mieć swój dom. Do roku 1967 zameldowany byłem na stałe u rodziców w Karpaczu, a żona u swej rodziny na wsi, pod Płockiem. Dopiero jak pracowałem w Kołobrzegu, przyjęto mnie do spółdzielni mieszkaniowej w Poznaniu, bo budowę kołobrzeską prowadziła „Hydrobudowa" Poznań. W roku 1967 dostaliśmy mieszkanie, zwieźliśmy tam wszystkie swoje rzeczy, spędziliśmy urlop, można powiedzieć miodowy miesiąc po 17 latach małżeństwa!

Jeśli mnie coś nieraz złapie za serce, to brak stałej, ojcowskiej opieki nad synem. Nasz Janusz ma już 17 lat i uczy się w technikum budowy maszyn papierniczych w Jeleniej Górze. Chciałbym, żeby był ze mną, lub z żoną, to jednak niemożliwe. Musiał więc wcześnie nauczyć się samodzielności. Razem spędzamy tylko ferie. Teraz chcemy przenieść się z żoną na budowę Porąbka — Żar. Znów będziemy razem, spotkamy na pewno starych znajomych, będziemy zwiedzać okolicę, może narzekać na szarzyznę codzienności... Tylko gdybyśmy nie poświęcili wygód związanych z osiadłym trybem życia, może codzienność wydałaby się nam o wiele bardziej szara, a nasze małżeństwo mniej udane?

* * *

— Czy ja tęsknię do normalnego życia? Przecież ja cały czas prowadzę normalne życie! Wstaję rano, golę się, myję, ubieram, jem śniadanie, idę do pracy, wracam, jem obiad, wypoczywam, czytam, idę do kina, chodzę na spacery do pobliskiej wsi, bo tam jest gospoda z piwem, a tu piwa nie ma. Co pan widzi w tym nienormalnego — dziwi się Alois Wašek, technik budownictwa wodnego, przedstawiciel czechosłowackiej firmy ČTK w Blansku. — To prawda, że nie widuję co wieczór mojej żony, a raczej, że nie widzę jej czasem przez pół roku, potem tydzień lub dwa jestem w domu i dalej hajda w świat — Bułgaria, Rumunia, NRD, Węgry, Związek Radziecki, teraz już 6 miesięcy jestem w Polsce. Dla mnie to normalne życie, pracuję tak odkąd ukończyłem szkołę. I kto może mi powiedzieć, że normalnie to jest odwrotnie, to znaczy stale z rodziną, dzień w dzień wspólne kolacje, wspólne wizyty u znajomych, nie kończące się rozmowy i z dnia na dzień coraz większa nuda, spowszednienie, kłótnie? Wtedy ognisko domowe zamiast grzać — parzy. Gdy wracam do domu nakładam na siebie najlepszy garnitur, a żona w każde popołudnie występuje w innej sukni aby za każdym razem wyglądać trochę inaczej. Jak byłem młodszy to mnie ciekawił świat, chciałem poznać jak najwięcej miast. Teraz mam 41 lat i nie będę zmieniał zawodu. Zresztą świat jest ciągle interesujący.

* * *

— Zakochany byłem do szaleństwa, aż sam się dziwiłem, bo przekroczyłem już trzydziestkę. Ona miała 25 lat, świeżo po studiach. Wiedziałem, że przede mną chodziła z różnym facetami, może to i lepiej. Ustaliliśmy, że się pobierzemy.

Miałem służbowo wyjechać na miesiąc. W przeddzień, to była niedziela, wybraliśmy się na wycieczkę. Uroczo spędziliśmy ten dzień. W poniedziałek ranlutko przyszedł goniec z dyrekcji i powiedział, że mój wyjazd odwołany. Poszedłem zwyczajnie do pracy, a wieczorem kupiłem kwiaty i — myślę — zrobię jej niespodziankę. I wie pan co? Nie było jej. Czekałem na ulicy, coraz bardziej zdenerwowany — aż do godz. 23. Przywiózł ją samochodem jakiś mężczyzna, obcałował ją w wozie, ona jego i wysiadła. Była tak zaskoczona moim wido-

Kamena str. 4

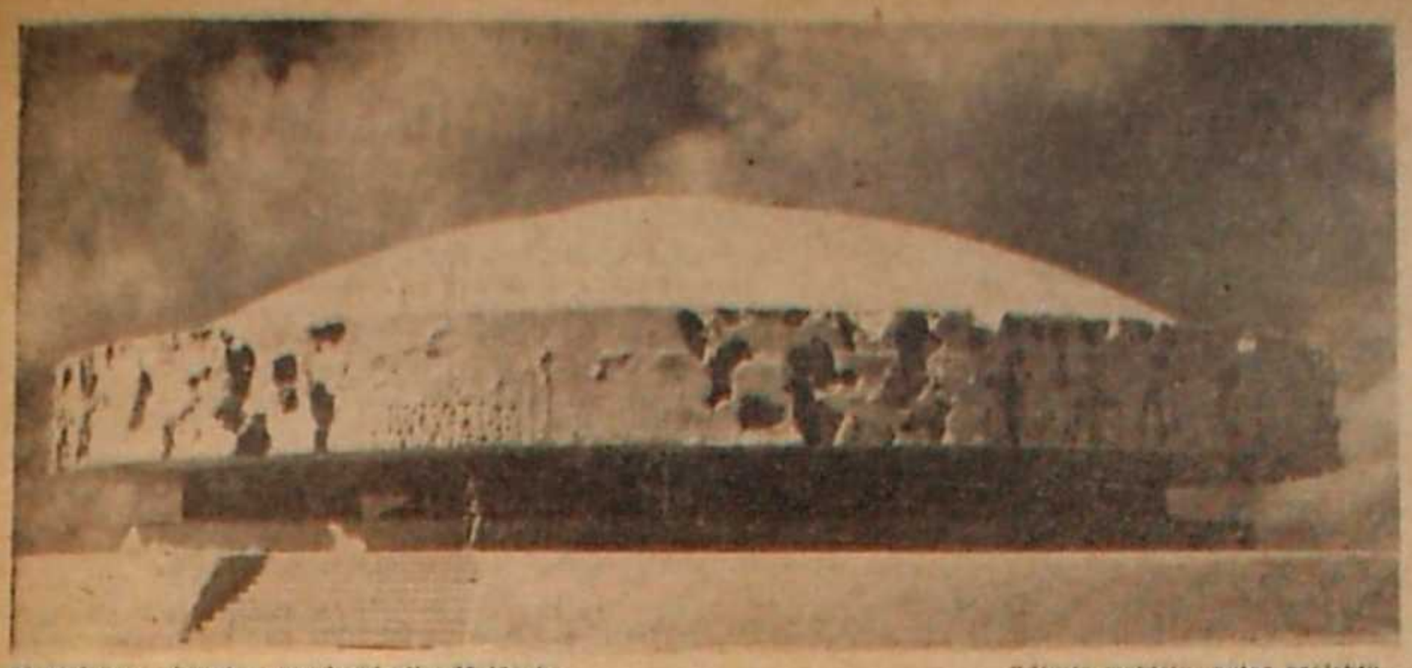

Mauzoleum — krypta z prochami ofiar Majdanka. Zdjęcie makiety: autor projektu.

Kamienny symbol męczeństwa i heroizmu

WIDZIANY z odległości kilkuset metrów, z drogi Lublin — Zamość, były obóz zagłady na Majdanku niknie w zielonych połaciach wysokiej trawy, skutecznie odbierającej poszarzałym barakom dramatyczną ekspresję. Tylko czarne, na tle nieba, pionowe kreski wież strażniczych sygnalizują tragedię sprzed lat. Wielka przestrzeń obozu nie ma dotąd czegoś, co by swoim sugestywnym i monumentalnym kształtem zwracało uwagę w sposób kategoryczny, co by zapadało w pamięć jednoznacznym symbolem walki i męczeństwa. Właśnie walki i męczeństwa. Bo w moim osobistym odczuciu człowieka, któremu los oszczędził ponurych obozowych doświadczeń, Majdanek jest przede wszystkim dowodem prześladowań ludzi przez hitlerowców;

Wiktor Tołkin

mam podstawy przypuszczać, że powojenna generacja odnosi podobne wrażenie.

Prawda, zachowały się dokumenty, opublikowano wiele relacji i wspomnień, przewodnicy informują wycieczki o obozowym ruchu oporu, w świetle tych przekazów rzeczywistość obozowa nabiera pełniejszego kształtu, w którym wiele miejsca zajmuje właśnie walka — cicha codzienna i heroiczna walka o przetrwanie. Ale po obejrzeniu krematorium i komór gazowych trudno powstrzymać się przed refleksją: czy w tak świetnie zorganizowanym systemie mordowania więźniowie mogli zachować nadzieję, która daje moc potrzebną do walki? Wiemy, że wielu zachowało tę siłę. Ale nie ulega wątpliwości, że wiedzę tę trzeba unaocznić, zmaterializować, ponieważ w pamięć i serce człowieka najgłębiej zapada to, co może on zobaczyć. W tej chwili Majdanek wchodzi w ludzką świadomość przede wszystkim wyglądem krematorium i komór gazowych. Już jednak niedługo na terenie obozu stanie pomnik, którego dramatyczne formy przekażą współczesnym pełną prawdę: o męczeństwie kilkuset tysięcy pomordowanych, ale także o ich walce i ludzkiej godności...

Na ogłoszony w ubiegłym roku konkurs na ten pomnik wpłynęło 140 prac, z których jury pod kierownictwem min. Janusza Wieczorka i przewodniczącego Prezydium WRN w Lublinie, Pawła Dąbka, wybrało do realizacji projekt inż. arch. Wiktora Tołkina z Gdańska, (współpraca konstruktorska — mgr inż. Janusz Dembek), twórcy monumentów martyrologicznych w Stutthofie, Sztumie, na Złotej Górze, pomnika powrotu Polski nad morze w Kołobrzegu, pomnika zwycięstwa w Darłowie, wybitnego artysty, w tym roku uznanego za jednego z trzech najpopularniejszych ludzi Gdańska. Rozmowa z W. Tołkinem wprowadza w szczegóły tego projektu.

— *Jak zdążyłem się zorientować, pomnik będzie się składał z dwóch zasadniczych elementów, oddalonych od siebie o około półtora kilometra i usytuowanych na osi drogi prowadzącej od ul. Męczenników Majdanka do kopca z prochami ofiar obozu. Czy mógłby Pan przedstawić ideowe uzasadnienie takiego rozwiązania?*

— Miałem do dyspozycji dwa miejsca lokalizacji: albo na przedpolu obozu, albo przy kopcu. Wybrałem trzecie wyjście, dzięki czemu udało mi się stworzyć pewną całość, zarówno w sensie plastyczno-przestrzennym, jak i ideowym. Struktura rzeźbiarska w pobliżu ulicy nie zasłoni baraków, a zarazem powinna zwrócić uwagę każdego przechodnia, natomiast kopuła odległego mauzoleum zabezpieczy prochy, które obecnie spoczywają w trawiastym kurhanie. Równocześnie będzie ona widoczna dla każdego, kto znajdzie się w prześwicie pierwszoplanowej rzeźby, która jest właściwie bramą, wejściem prowadzącym do miejsca kontemplacji, czyli do mauzoleum — krypty.

— *A więc człowiek, który znajdzie się w bramie, wstąpi niejako na cięciwę ogromnego łuku dramatycznego napięcia, kończącego się gdzieś na tarasie mauzoleum?*

— Tak, mniej więcej tak. Z tym jednak, że już wcześniej staram się pozbawić człowieka bagażu codziennych, błahych spraw i wytrącić go ze stanu spokojnego, podbarwionego tylko zaciekawieniem, oczekiwania na wygląd pomnika. W tym celu zaprojektowałem przed bramą kamienny rów o głębokości ponad dwóch i pół metra, o bokach najeżonych ostrymi głazami, do którego prowadzi w miarę stroma pochylnia — chodzi mi o wywołanie wrażenia niepokoju. Przez ten rów trzeba przejść, chcąc dostać się do bramy.

— *To bardzo intersujące rozwiązanie, zbliżone w swoich intencjach do happeningu. „Brama" natomiast jest właściwie abstrakcyjną, przestrzenną rzeźbą.*

— Osobiście widzę ją nieco odmiennie, raczej jako blok stłamszonych, sprasowanych ciał ludzkich.

— *Ależ one zachowały niezwykłą dynamikę, która pomimo destrukcyjnej inwazji, uderzenia z zewnątrz, tkwi w tej masie, zdolna do nagłego wyzwolenia!*

— Widzi pan, walczyłem w powstaniu warszawskim, byłem więźniem Oświęcimia i wiem, że przetrwanie zawdzięczam przede wszystkim, może zabrzmi to niewiarygodnie, optymizmowi. Wierzyłem w wyzwolenie i w koniec ostateczny tych „nadludzi" bez odrobiny człowieczeństwa, którzy robili wszystko, żeby nas złamać, zeszmacić. Do dziś zresztą zastanawiam się nad kryteriami człowieczeństwa, a dodatkowych powodów do takich rozważań dostarczają mi postępy nauk biologicznych i medycznych, obiecujących przeszczepianie mózgów. Uważam, że system hitlerowski produkował ludzi, którym „przeszczepiono" mózgi szaleńców... Powracając do pomnika: abstrakcyjne kształty mają zdolność uniwersalnego przekazywania treści, ich ukryty sens staje się zrozumiały dla przedstawicieli wielu narodowości, bez względu na znajomość faktu historycznego, symbolizowanego przez pomnik. Forma bramy ma wymowę dwuznaczną: może przywoływać „Boską Komedię" Dantego, może też przypominać o naszym ostatecznym zwycięstwie.

— *Jaka będzie wielkość bramy?*

— Długość 35 metrów, wysokość od poziomu ziemi do górnej krawędzi podstawy plus prześwit i sam motyw rzeźbiarski — w sumie 24 metry.

— *A mauzoleum?*

— Składa się ono z kilku części: cokołu o średnicy 45 metrów, kopuły o wysokości 5 i średnicy 35 metrów, którą otacza fryz rzeźbiarski o szerokości ponad dwóch i pół metra, oddzielony od cokołu niemal dwu i półmetrowym prześwitem, umożliwiającym dostęp do wnętrza, gdzie znajdzie się głęboka urna z prochami, zanurzona w ziemi. Wysokość mauzoleum dojdzie do 15 metrów.

— *Sądząc po fotografiach makiety, pomnik będzie monumentalny i mocny w ekspresji. Ale, jak mówi poeta, „między zamysłem a realizacją mrok wielki zalega"...*

— Wizja lokalna w terenie, dziesiątki notatek i szkiców koncepcyjnych, to wszystko doprowadziło do tego, że w pewnym momencie ja ten pomnik po prostu zobaczyłem — we wszystkich jego relacjach z otoczeniem i skalą człowieka. Można zaufać fotografiom makiety: ekspresja pomnika mniejsza nie będzie. Mroku nie ma.

— *Czy poza abstrakcyjnymi, lecz czytelnymi przecież rzeźbami fryzu przewidział Pan dodatkowe sugestie znaczeniowe?*

— Na podstawie mauzoleum w 28 językach będzie wyryta sentencja: „Narody tracąc pamięć, tracą życie". Nie został jeszcze ustalony napis nad wejściem na płytę mauzoleum.

— *Jaka jest geneza formy mauzoleum?*

— Dwojaka. Jego kształt nawiązuje do słowiańskiej urny grobowej. Cała budowla składa się z głównego naczynia z prochami, przykrytego pokrywą. Pewnych inspiracji dostarczył mi także panteon — jako reprezentacyjna świątynia, w której grzebano zasłużone jednostki. Po doświadczeniach drugiej wojny światowej panteon jest miejscem upamiętnienia godnym tych wszystkich, którzy zamordowani w obozach hitlerowskich, ponieśli zbiorową ofiarę dla tych, którzy pozostali przy życiu i życie to rozwijają.

— *Ostatnie pytanie: kiedy pomnik zostanie odsłonięty?*

— We wrześniu przyszłego roku.

Rozmawiał **I. J. K.**

Pomnik narodowej pamięci

Wojciech Białasiewicz

W CZERWCU 1956 r. na polach kolonii Zastawie koło Krasnegostawu odbyła się uroczystość odsłonięcia pamiątkowego obelisku, poświęconego pamięci żołnierzy polskich, poległych w dniu 19 września 1939 r. w trakcie walk o miasto Krasnystaw. W bieżącym roku, z okazji kolejnej rocznicy kampanii wrześniowej, przewiduje się odsłonięcie na wybudowanym obelisku tablicy pamiątkowej z nazwiskami poległych żołnierzy.

W literaturze traktującej o działaniach polskich oddziałów w kampanii wrześniowej 1939 r. istnieje dotychczas sporo luk, a wiele epizodów, które powinny być przekazane do wiadomości całego społeczeństwa, pozostaje nadal w zapomnieniu.

Jednym z nie znanych dotychczas epizodów kampanii 1939 r. była wprawdzie krótkotrwała, ale w konsekwencji tragiczna akcja polskich oddziałów w rejonie miasta Krasnystaw. Szczegółowsze dane dotyczące tej bitwy zawarte są w książce płk płk L. Głowackiego i A. Sikorskiego „Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie", wydanej w 1966 roku przez Wydawnictwo Lubelskie.

W godzinach popołudniowych 18 września 1939 roku czołowe oddziały niemieckiej 4 dywizji piechoty zajmują miasto. Wieczorem tego samego dnia oddziały polskie grupy operacyjnej gen. Kruszewskiego, kontynuując odwrót w kierunku Zamościa, docierają jedną kolumną w rejon Krasnegostawu. Dowódca 39 dp. gen. Bruno Olbrycht, którego oddziały maszerowały w straży przedniej polskich wojsk, podejmuje decyzję uderzenia na miasto celem opanowania go i zabezpieczenia pozostałym jednostkom przemarszu. Do przeprowadzenia natarcia wyznaczony zostaje 3 batalion 9 pułku piechoty, dowodzony przez mjr Edwarda Fietta. Wsparcie ogniowe zapewnia 4 bateria 3 pułku artylerii lekkiej kpt. Henryka Karolki oraz Warszawski Pułk Ułanów ppłk dypl. J. Trepto ze składu Kombinowanej Brygady Kawalerii płk. Zakrzewskiego.

O świcie 19 września na polach kolonii Zastawie rozwija się w kierunku Wieprza polskie natarcie, które w początkowej fazie bez poważniejszej walki zdobywa teren. Następnie jednak napotyka ono na wysunięte gniazda niemieckich karabinów maszynowych i dostaje morderczy ogień krzyżowy z bliskiej odległości. Kontratak oddziałów 4 dp niemieckiej, przeprowadzony zza rzeki, rozbija atakujący 3 baon oraz skutecznie wstrzymuje natarcie Warszawskiego Pułku Ułanów.

Straty wśród atakujących polskich oddziałów są bardzo duże — ponad 38 żołnierzy. Główną przyczyną załamania się natarcia było niedostateczne rozpoznanie, co spowodowało wprowadzenie atakujących oddziałów pod zmasowany ogień broni maszynowej nieprzyjaciela. Polegli polscy żołnierze zostali pochowani przez ludność cywilną w zbiorowych mogiłach bezpośrednio na pobojowisku.

W końcu września 1939 roku powraca z wrześniowej tułaczki proboszcz Aleksander Miszczuk i podejmuje inicjatywę przeprowadzenia ekshumacji zwłok polskich żołnierzy oraz pochowania ich na cmentarzu parafialnym. Władze niemieckie udzielają zezwolenia na ekshumację, która odbyła się w dniach od 30 listopada do 2 grudnia 1939 roku. Pogrzeb był manifestacją bez precedensu.

Przez cały okres okupacji żołnierskie mogiły utrzymywane były przez społeczeństwo w należytym porządku. Traktowano je jako jedno z miejsc patriotycznych, narodowych pamiątek. Tak traktujemy je i dzisiaj.

---

kiem, że przyznała się do spędzenia z tym gościem popołudnia w N.; to taka letniskowa miejscowość pod Łodzią. „Piliśmy kawę, dał mi trochę poprowadzić wóz, a pocałunki w wozie, to były takie sobie, ojcowskie, nie powinieneś na to zwracać uwagi" — mówiła. Faktycznie facet mógłby prawie być jej ojcem. Ale skąd ja mogę wiedzieć, co tam było?

Wtedy straciłem całkowicie szacunek dla kobiet. Zacząłem też podrywać, na jeden wieczór. Panie, jak mi to lekko szło! Ale szybko mi to zbrzydło. Wszystko mi właściwie zbrzydło. Więc przyjechałem do Soliny, żeby oderwać się od świata. Myślałem, że spotkam tu samych straceńców, pomyleńców, rozczarowanych życiem. Gdzie tam, zwyczajni faceci. Tylu młodych, zdrowych chłopów, pozostawiali żony na całe lata, a sami siedzą w tej dziurze. Nieraz przy kielichu opowiadałem któremuś o swych tarapatach, tak jak teraz panu. „Toś źle, bracie, trafił — mówi spokojnie. — Poszukaj sobie innej, porządnej. Dobra baba to, bracie, skarb — i dom zadbany i dzieci zdrowo rosnące i z gachami się nie zadaje". Zaczynałem zazdrościć tym moim kolegom, posłuchałem rad i znalazłem sobie taką dziewczynę. Jesteśmy już rok po ślubie. Ona mieszka w Łodzi, ja tu, zwyczajnie. Ale to widywanie się raz na miesiąc nie wystarcza. Kończymy Solinę i wracam do domu.

* * *

— Ładną zrobiliśmy sobie wycieczkę? Lubię spacerować, żona też lubi. Więc gdzie mamy chodzić? Po Marszałkowskiej? To nie spacer tylko dreptanie. Jednak prawdę mówiąc nie przyjechałem tu dla spacerów, a dla mieszkania. Jesteśmy już kilka ładnych lat po ślubie, a w Warszawie na przydział trzeba czekać bardzo długo... Czy nie wszystko jedno, gdzie się czeka? Byle mieć te własne cztery ściany, a o nie najłatwiej na wielkich budowach. Więc pojechałem do Turoszowa i byłem tam radcą prawnym. Potem, gdy dowiedziałem się o budowie Soliny, przyjechałem tu. Przyjęto mnie chętnie, bo nie za wielu znów prawników zna z praktyki problemy takich inwestycji. Byliśmy tu z żoną, no i bardzo dobrze wspominamy ten okres. Brak kawiarń, klubów, koterii, rozróbek towarzyskich, kopania pod sobą dołków, tego wszystkiego, co jest w Warszawie, w środowisku inteligenckim — zwierza mi się Kazimierz Orłoś, prawnik i literat. — Widzi pan, tu życie ma trochę inne wymiary. Sprawy kawiarniano-bridżowe wydają się błahe. Każdy z nas codziennie ma wiele poważnych zadań, które musi wykonać, bo patrzy cała załoga. Na taką budowę przychodzą różni ludzie. Znakomici fachowcy, ale także i lenie, chuligani, złodzieje. Tych drugich jest jednak zawsze mniej i szybko albo odpadają, albo przystosowują się do warunków, czyli do ciężkiej pracy.

Teraz dostaliśmy mieszkanie spółdzielcze w Warszawie. Ja chyba jednak znów poszukam sobie podobnego zajęcia. Myślę o budowie elektrowni w Kozienicach. Trochę bliżej domu, lecz wystarczająco daleko od intryg i dymu kawiarń na Nowym Świecie.

* * *

— Dla mnie życie to towarzystwo, kawa, dobre wino, koniak, bridż, taniec. To samo żona. Lubimy przyjmować gości, lubimy bywać u innych. Wie pan, to jest przyjemne: eleganccy mężczyźni, ładne, zadbane kobiety, ciekawe rozmowy, żarty. Może inni spędzają wolny czas racjonalniej, pożyteczniej, ale ja mam za sobą tyle ciężkich chwil, że chcę pożyć trochę beztrosko. Rozumie pan? — pyta mnie Michał Cagonianu, zastępca kierownika Bazy Remontowo-Sprzętowej „Hydrobudowy 10" w Solinie. Mówię, że rozumiem. Zanim poznaliśmy się osobiście, zwróciłem uwagę na tego wysokiego mężczyznę o falujących, szpakowatych włosach, starannie ubranego i towarzyszącą mu piękną blondynkę. „To Cagonianu", powiedziano mi. Rumun, który w roku 1941, mając lat 18, przedostał się nielegalnie do Związku Radzieckiego. Był antyfaszystą, ale Rumunia należała wtedy do państw Osi, więc najpierw trafił do obozu w Komi. Potem zgłosił się do wojska. Służył w jednostkach regularnych, dywersyjnych i w partyzantce. Zrzucano go na spadochronie w Rumunii, Jugosławii, na Węgrzech, w Słowacji, Austrii. Ożenił się z Polką, więc po wojnie osiadł w Szczecinie i studiował na tamtejszej Politechnice. W 1950 roku przyjął obywatelstwo polskie. Po takich burzach rzeczywiście można chcieć pożyć bez trosk i kłopotów.

— Mamy ładne mieszkanie w Warszawie — mówi Cagonianu — i mnóstwo przyjaciół. Pracowaliśmy i bawiliśmy się. Było nam dobrze. I wie pan, w pewnej chwili przeraziłem się. Zdałem sobie sprawę, że stoję w miejscu. Żyję wspomnieniami, obnoszę ordery, a na to wszystko nakładam wygodne życie bez ryzyka i komplikacji. To przecież zwykła droga do starości psychicznej, a ja miałem zaledwie 42 lata. Nie jestem Fanfanem Tulipanem ani Dylem Sowizdrzałem. Czy oznacza to jednak konieczność trzymania się ciepłej posadki w Warszawie? Dowiedziałem się o możliwości otrzymania ciekawej pracy w Solinie, zamknęliśmy więc mieszkanie na klucz i przyjechaliśmy. To już cztery lata. Tęsknimy za urokami stolicy, za życiem, jakie prowadziliśmy, chyba jednak szybko nie wrócimy. Odkryłem uroki takiej pracy i takich ludzi jak tu. Żona trochę się boczy, gdy mówię, że teraz mam zamiar iść na budowę Czorsztyna. Ale pójdzie ze mną. Tam w górach będziemy znów tęsknili do uciech stolicy.

* * *

— Redaktorze, tylko bez takich numerów. Żadnego bohaterstwa. To była po prostu interesująca robota. Pod każdym względem interesująca, finansowym też. Dobre płace plus 20 procent dodatku bieszczadzkiego, a wydawać tych pieniędzy nie było gdzie, ani na co. Jasne? Odłożyłem sobie na samochód, już wpłaciłem. A w Krakowie klepałbym biedę. Może nie dosłownie, w każdym razie byłoby dużo ciężej. Inaczej bym tu nie przyjechał. Ja kocham Kraków. Tylko, że w Krakowie byłem inżynierkiem, szef mówił do mnie „Jureczku", ja do niego „panie inżynierze". A tu byłem inżynierem na poważnym stanowisku, nikt nie mówił, że nie ukończyłem trzydziestu lat, więc nie można mnie obarczać odpowiedzialnymi obowiązkami. Teraz mam 32 lata i jeszcze poważniejsze stanowisko na nowej placówce, w Machowie. Dostałem dziś Srebrny Krzyż Zasługi, to prawda. W Krakowie nie dostałbym i za dziesięć lat. Ale ja nie dla krzyża tu przyjechałem, bo przecież nikt mi go nie obiecywał. Po prostu była dobra robota, dobrze płatna, nie jakieś tam cackanie się z projekcikami. „Synku, kawał ładnej roboty odstawiliśmy, fajnie nam się z tobą pracowało, to nic, że mnie wtedy w Sylwestra ochrzaniłeś, miałeś rację. Szkoda, że idę na inną budowę, niż ty. No, daj pyska" — — tak mi dziś powiedział jeden brygadzista, który mógłby być moim ojcem. Cały czas był grzeczny, oficjalny, per „panie inżynierze", a dziś „synku". Dobrze pracować z takimi ludźmi.

Romuald Wiśniewski

P. S. Na życzenie niektórych rozmówców nie wymieniam ich nazwisk.

Kamena str. 5

Z PIERWSZEGO ROCZNIKA „KAMENY"

Wrzesień 1933 – Czerwiec 1934

Zamieszczone poniżej wiersze jak i trzy materiały na sąsiedniej stronie wybraliśmy z przedwojennego rocznika „Kameny". Przedwojenna „Kamena", jako „dziecko nauczycielskie", ukazywała się w miesiącach wrzesień — czerwiec; rocznik liczył się więc od września. Zachowujemy starą pisownię. (Red.)

Franciszka Arnsztajnowa

Na Olejnej

(z cyklu „Stare kamienie")

Szybko mrok zapada w ciasnej ulicy,
domy szczytami schodzą się prawie.
Na wąski nieba skrawek
wychynął róg księżyca.
Ocknął się mały Lew, ślepia przetarł leniwie;
wstrząsnąwszy kamienną grzywą,
z płaskorzeźbionej tablicy wytartej
schodzi na nocną wartę.
Tam i napowrót przemierza wąwóz ulicy głębokiej,
czujnie okrąża starą mennicę,
czając się za szkarpą,
śledzi, czy jaki przechera
do półgroszków skarbu
chytrze się nie dobiera.
Cicho. Kroki.
Bijąc się po lędźwiach ogonem
z pomrukiem srogim,
skoczył Lew z paszczą rozdziawioną.
I nagle
spojrzał w twarz pobladłą
dziewczyny ulicznej na rogu.

Józef Czechowicz

Dzieciństwo

da ja mała pasturecka
da strachom się wszystkiego
da nie sułka jasiecka
mego najmilejsego
śpiewała daleko gdzieś
w słonecznikowych słońcach zagubiona
wieś
może były polne prace czyjeś
może len się po kądzielach wije
nie wiadomo jak stały chaty
nie spamiętać dokąd szły drogi
napewno tylko sęk słońcem żywicą bogaty
i jeszcze króliki pod progiem
może był papierowych różyczek wstąg
nad ciemnym obrazem pokos
może był z okien jak z łaskawych rąk
miesięcznego blasku potok
nie wiadomo jak owsy szumiały kąkolom
nie wiadomo
pamiętasz niskie ule pod słomą
i jeszcze
zgrzane lato nad rzeką
pachnące pachy pacholąt
i śpiewkę
da ja mała pasturecka
da strachom się wszystkiego
da nie sułka jasiecka
mego najmilejsego
ach wieś

Julian Przyboś

Z Tatr

Słyszę:
kamienuje tę przestrzeń niewybuchły huk skał.
To — wrzask wody obdzieranej siklawą z łożyska
i
gromobicie ciszy.

Ten świat wzburzony przestraszonem spojrzeniem
uciszę,
lecz —
Nie pomieszczę twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr,

To zgrzyt
czekana,
okrzesany z echa;
to tylko cały twój świat
skurczony w mojej garści na obrywie głazu;
to — gwałtownem uderzeniem serca powalony szczyt.
Na rozpacz — jakże go mało!
A groza — wygórowana!

Jak lekko
turnię zawisłą na rękach
utrzymać
i nie paść,
gdy
w oczach przewraca się obnażona ziemia
do góry dnem krajobrazu,
niebo strącając w przepaść!
Jak cicho
w opuszczonej dłoni pochować Zamarłą.

Konrad Bielski

Muza

wschody zachody
wody morza
opal obłoków zieleń drzew wiosenną
gwiazdy tła znaczą
kwitnie zorza
a tu promienie
a tam mgiełka senna
zawiłe znaki znaczy
nie może być inaczej

nocą w mieście blasków ulewa
łoskot pojazdów
płonie śpiewa
podniebna jazda
świateł neonowych wytryski
bramy barów
cel bliski
w ogniu pożaru

kwitnę legendą
gasnę mitem
w zórz borealnych spalam się kolorach
żyję jednym zachwytem
we wszystkich wieczorach
gdy światła białe smugi
tną ciemność cienką szpadą
na ścianach obrazy kładą
cienie mgliste
zdarzenia nierzeczywiste
ekran poezją ocieka
rodzą się dziwne misterje
wezbrała rzeka
płoną prerje
tafla księżycowa się zbliża
wnikamy w jądro ziemi
strzępią się chmury o skaliste wyże
ludzie płyną nad niemi
wołania
kapią złote monety

wszystko niknie
i już na pierwszym planie
twarz kobiety
przybliża się coraz bardziej
zaraz się zleje z widownią
oczy płonące głownie
usta zaciśnięte
dławią wyrazy
przejęty lękiem
czekam rozkazu

na srebrnej taśmie
napisałem na nowo wszystkie moje książki
wiem
przed wieczorem się zacznie
popłyną srebrną rzeką brzęczące pieniążki,
żadnej przygody nie można nawet porównać z tym faktem
że żyje i umiera wraz z każdym antraktem

zawsze ta sama
powiewnie kwitnie biała dama
tam znów z ustami usta spaja
gdzieindziej kwiaty sprzedaje
motylem ręki wita buntów grzmoty
na krańcach świata szuka złota
gwałtem na książki stronice się wkrada
czy to wiersz będzie czy ballada
czy też eposu nieskończone zwoje
w micie legendzie
cudze czy moje
bez niej się nie obędzie
o legendach zapomniałem
jutro przekuwa życie na nowym kowadle
ranki i wieczory płoną zórz brokatem
tyle wierszy napisałem
spadałem gwiazdą srebrną
kwitłem kwiatem
w rzeczywistości zwierciadle
odbijałem wspomnień dalekie obrazy
spajałem mocnym rymem każde zdanie
nic mi nie zostało
tylko ta panna ubrana biało
na ekranie.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Prawo łaski

O, najjaśniejszy królu!
Obywatelu prezydencie,
nad aktami skazańca schylony!
Drży ołówek... drży dostojna ręka...
cięży na głowie korona...
Wiem — to straszne napięcie.
Rozumiem — to męka.
(„Sąd skazał,
ale prezydent zmazał.
Sąd się na życie człowieka rozsierdził
i król zatwierdził"...)
Za chwilę twój ołówek nakreśli zygzaki liter:
„tak" lub „nie".
„Tak" — w pętlę się zaciśnie oślizgły soliter,
„nie" — wróblem zaświergocze w roześmiane dnie.
„Tak" (przeczytaj odwrotnie) — ma czerwony kaptur
i brzmi, jak suchy gilotyny trzask.
„Nie" — to echo radosne od miejskiego traktu
i słońca blask.
O, najjaśniejszy królu! Panie prezydencie!
Tu niema dylematu, to prosty aksjomat:
połóż rękę na sercu — co? bije zawzięcie...
otwórz okno — patrz: niebo i soczyste pnie,
wciągnij głębiej do piersi powietrza aromat
i napisz olbrzymie NIE!

Teodor Bujnicki

Trumny

Nawet wierszy pisać już nie umiem,
nawet krzyknąć nie potrafię głośniej.
W niespokojnie zapatrzonych oczach rośnie
wizja prostych i milczących trumien.

Wiem, że śmierć jeszcze bardzo daleko
czeka na mnie łagodna i dobra,
ale już mi serce w śniady mosiądz się obleka
jak sczeniały bizantyjski obraz.

Z dnia na dzień liczę chwile nadchodzące
może nawet piękne i szczęśliwe
o zdarzenia błahe potrącam
jak o strunę napiętej cięciwy.

I doprawdy nie wiem i nie myślę
o tym końcu, który z mgły wypłynie,
tylko widzę trumny, trumny
jak łodzie na wezbranej głębinie.

Jerzy Putrament

Poecie

ALEKSANDROWI RYMKIEWICZOWI

W letni ranek, kwitnący na ogromnem niebie,
nim skwar liście osuszy i z traw zetrze rosę,
pójdziesz drogą, przypadkiem rzuconą przed siebie,
pod horyzont, zamknięty korowodem sosen.

Poza lasem, gdzie twoja droga się zanurza,
tysiąc jaskrawych kształtów życia ciebie czeka:
białe szosy się ścielą przez nieznane wzgórza,
nawisłe łoziną nad śpieszącą rzeką.

Tak przed tobą powstaną rzeczy, których grozą
zachłyśnięty napróżno do krzyku się zerwiesz,
prawo tępym brukowcem pięść na kark położy,
dusząc nienawiść myśli i policzków czerwień.

Nim zejdzie posiew zdarzeń niewyrosłych jeszcze,
ucz się oczy poskramiać i nie gardź rozpaczą,
najsilniejszem uczuciem dziadów naszych — wieszczów
których słowem stanęło to, co nas otacza.

Oto czemu, skuleni przed występnym światem,
próżno szukając w sobie harmonji i dobra,
chylimy się do strzelistej symetrii kwiatów
i wielbimy poranka dwubarwny krajobraz.

Stanisław Piętak

Spotkanie

Po niebie chodziła Marysia z liljami,
więc oczy zakopywałem długo w rozpalony piach —
na zgrzanej oborze pies i złoty dym upału,
do koryta z zieloną wodą słońce wianuszek srebrnych
kwitnące upuszczało. *(kwiatów)*

Gdy zatrzymałem lśniące lustro wątłemi palcami,
zakrwawiła się czarna wstążka w piersiach od nagłego
Maryja-Maryja już nie szła, płynęła z chmurami, *(kaszlu.)*
na ustach mając lilje i lilje we włosach —
stałem boso, w lnianych portkach,
wydłużyły mi się worki błękitu koło nagich pach.

Wargi poranione żarem ważyły jak kawałek żelaza,
próżno do oczu zaczerpnąć z nieba łez,
ścieżyną, unoszoną niteczkami ciszy,
nabity w obnażoną czerwień i gryzący płacz,
wyszedłeś znowu,
spojrzeniem kalecząc mi piersi jak igłami.

Gdyby móc, zapaliłbym powietrze ręką —
ach, przecież wyniosłem cię na daleką drogę,
czemu nie odszedłeś z brzozami w rozzłocony pył?
Ty nawet nie wiesz, jak bolał
twoich krwawiących oczu ropiejący strach.

Wziąłem cię w ręce,
wtedy lustro umknęło między wierzby,
tam głos Marysi kwitł,
czy wiedziałeś, że idę cię topić?
W gardle owiniętym zgniłą sierścią ktoś ci tak rzewnie
krew rozszlochał.

z chmur upadł biały wianek,
gdy Marja pokrwawiła błękitną dolinę ustami,
od północy z czarnego pustkowia
wyszedł rudy prałat, groził —
żeby tak zębami pogryźć niebo
na białe strzępy zdarłbym zapłodnione stada chmur.

Od żył rozkruszyła się cisza, z zachodu wyszedł brat
pochyliłem się nad wodą — *(i płakał.)*
ślniło się słońce, wijące wianuszki z liljowego tła,
na Marję musiałem splunąć, prałatowi pokazałem język,
by ciebie mocno zepchnąć do samego dna.

Wypłynąłeś po chwili,
w oczach ten sam bolesny pożar, co u płaczącego brata,
czas naładowany nożami serca nie omijał,
a jednak walnąłem cię w chory łeb kamieniem,
zakwiliła krew w uszach, potem na spłoszonej szyi
od jęku twego rozpluskał się wiatr.

Tej samej nocy Marja miała twe oczy i płakała, gdym ją
czemu nie odchodzisz dotąd? *(bił.)*
nie zostawiłeś jej w piersiach mleka ani nitki krwi,
a ciągle rozdrapujesz jej ciało pazurami.

Gdy wrastasz nad ranem w obnażony księżyc,
nie uśmiecham się od drzwi —
wiem, że znów jutro jeszcze boleśniej mi się przyśnisz.

Marian Piechal

Wielkanoc

Nad światem, nad Europą
nie świt, nie dzień.
Śmierć niewidzialną przelata stopą
jak przezroczysty cień.

Wśród zwątpień gorzkich oparów
dzień zwykły, noc powszednia.
Zgasły ostatnie ognie sztandarów
na przedmieściach Berlina i Wiednia.

Ze zbutwiałych trucheł i pleśni
otwiera się przeszłość jak grób.
Kładą się w nim buntarskie pieśni,
od których w przyszłość widno...
a zmartwychwstaje zielone widmo,
rozkładający się trup.

Gnijący świata rozstrój,
wydziela trującą zarazę.
Ucz się oddychać, ptaku, z każdą wiosną
zamiast powietrzem — gazem...

W tem przemijaniu, konaniu
jedna tylko noc i gaz jak najściślej
mówią głośno o Zmartwychwstaniu...
Ale jakich wzruszeń? jakich myśli?

Giną ideje, zmartwychstają hasła
tem szczytniejsze, im mocniej wrzasną...
W Linzu ostatnia chorągiew zgasła,
od której było jasno...

Teraz noc, strasznie długa noc,
naprawdę Wielka-Noc —
głowa bezradna, jak kloc —
dookoła prze-moc — — —

SŁUP DYMU

Flamen*)

SŁUP dymu, wzbijający się ponad placem Opery w Berlinie pamiętnej nocy 10 maja 1933 r., słup dymu ze stosu inkwizycyjnego, powitany faszystowskim podniesieniem ręki przez współczesnych Hunnów, — ma głębsze symboliczne znaczenie, niż to się hitlerowcom wydaje.

Spłonęli Marks, Engels, Babel i Lenin: odtąd niemiecki robotnik ma być bezdusznym niewolnikiem.

Padli pastwą płomieni Remarque, Renn i Barbusse, gdyż przeć się będzie do wojny, którą należy gloryfikować.

Zgorzał Tomasz Mann: dzikus w brunatnej koszuli nie może mieć współczucia nawet dla umierających w Davos suchotników.

Na stos Arnolda Zweiga! Gdy się morduje Stellinga, cóż warta jest głowa rosyjskiego chłopca. Już nikt odtąd w Niemczech nie upomni się o życie biednego sierżanta Griszy.

Wassermana w ogień, gdy tysiące niewinnych Mauriziusów zapełnia obozy koncentracyjne!

Kellermana też. Nie trzeba „Głupców", gołębiego serca pastorów. Młody Nazi nie zrozumie miłości Ingeborgi.

Zniszczyć Sinclaire'a. Niemieccy „Emile" już odnaleźli swoją prawdę. A „Bostonem" jest każde miasto germańskie. Tołstoja spopielić! Szkodliwe są wyrzuty sumienia Niechludowa. Piotr Bezuchow wart więzienia.

Litości, litości przynajmniej dla Jacka Londona. Wszak to siła, hart, zdrowie, a przymioty te przydadzą się hitlerowcom. Ale London jest mazgajskim humanitarystą, występującym w obronie nawet umęczonych zwierząt. Ale London czci kobietę, gdy w brunatnym domu znęcają się nad nią, skoro myśli inaczej, niż Führer. Ale London potępił bestję Wolfa Larsena, a z kogóż się składają przywódcy Nazi?

Płomienie stosu, na który barbarzyńcy cisnęli dzieła największych pisarzy, nie wyrządziły książkom żadnej szkody. Ale blask ognia oświetlił wyraźnie prawdziwe oblicze niemieckiego faszyzmu.

———

*) Flamen stanowił pseudonim Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

PRO URBE SUA

PISMO literacko-społeczne w Chełmie. Komu i na co potrzebne? W Chełmie, gdzie tygodnik, wyłącznie sprawom regjonu poświęcony, z trudnością wychodził. Kto będzie czytał te wiersze, których nadmierna ilość w pierwszym numerze niejednego przestraszy? Wszak wieczory autorskie odbywały się tu zwykle wobec pustej prawie sali. Wszak recytacyj Rychterówny słucha tylko młodzież szkolna. Dla kogo te informacje o ciekawszych książkach, gdy najstarsza w Chełmie księgarnia nie mogła się utrzymać.

Poco ta robota?

A jednak... Na trzydzieści tysięcy mieszkańców choć pięciuset nasze szpalty przejrzy, choć setka uważnie przeczyta, choć pięćdziesięciu egzemplarz nabędzie, choć dziesięciu nas zrozumie.

Więc dla tych dziesięciu. No i dla innych dalszych miast.

Ale nie tylko literatura polska czy obca na sercu nam leży. Na tej stronicy w każdym numerze wołać będziemy o podniesienie kultury miasta.

Żeby bibljoteki chełmskie miały więcej abonentów i książek.

Żeby do Chełma częściej zaglądały dobre zespoły artystyczne.

Żeby miejscowi amatorzy nie marnowali swego talentu na bezwartościowe sztuczydła.

Żeby sale koncertowe nie świeciły pustką.

Żeby chełmskie recytatorki na występach publicznych nie produkowały się tylko Ujejskim i Konopnicką.

Żeby kina nie częstowały nas wysortowanemi kiczami.

Żeby szyldy wyglądały estetycznie a napisy na nich były ortograficzne.

Żeby miasto wystawiło na ulicach skrzynki do śmieci, gdy taki Kałusz, liczący dziewięć tysięcy mieszkańców, je posiada.

Żeby nie zamiatano w dzień ulic, gdy tłumy muszą wdychać mikroby.

Żeby Chełm, posiadający już basen, zdobył się i na łazienki publiczne.

Żeby... żeby... itd.

Mnóstwo ważnych spraw, nie cierpiących zwłoki, których obecność cierpliwie tolerujemy, musi ulec likwidacji. W rubryce tej będziemy nieustępliwie walczyli o podniesienie Chełma pod względem kulturalnym, o uczynienie z niego miasta prawdziwie europejskiego.

Walka z wiatrakami? Nie. Mamy niepłonną nadzieję, że w naszych poczynaniach nie będziemy osamotnieni.

(„Kamena" nr 1, wrzesień 1933)

SPOJRZENIE WSTECZ

(Słów kilka od Redakcji i Wydawnictwa do Czytelników)

ROK pierwszy istnienia „Kameny" zakończony. Czas obejrzeć się za siebie, by objąć wzrokiem ślad, który dziesięć numerów pisma zaznaczyło, by czytelnikowi niejedno wyjaśnić, sprostować błędy i nakreślić plan dalszego postępowania.

Rozpoczynając nasze wydawnictwo, nie poprzedziliśmy go, jak to jest we zwyczaju, żadnem słowem wstępnem, żadnem credo, mieszczącem w sobie program pracy. Uczyniliśmy to świadomie. Nie chcieliśmy powtarzać szumnych frazesów o sztuce przez wielkie S, o nieśmiertelności piękna, o stosunku poezji do szeregu zagadnień, jakiemi nabrzmiewa dzień dzisiejszy. Wiedzieliśmy nazbyt dobrze, jak życie wykoszlawia najwznioślejsze hasła, jak z dumnych sztandarów zostają strzępy kolorowych gaiganków. Nie chcieliśmy więc wyprzedzać faktów i czekaliśmy, by wypowiedzieć się później, gdy pewną część pracy mieć już będziemy za sobą. Nie znaczy to jednak, byśmy nie posiadali pewnej wytycznej postępowania, pewnych norm, któremi kierowaliśmy się w swej drodze dotychczasowej. O nich dzisiaj chcemy pomówić, by zestawiwszy to, czego się chciało, z tem, co się osiągnęło, ustrzec się błędów na przyszłość.

Wystarczy przejrzeć nazwiska pisarzy, których utwory znalazły się w pierwszym roczniku „Kameny", aby stwierdzić, że rekrutują się oni w przeważającej większości z tak zwanej a w a n g a r d y, to jest reprezentują te indywidualności, które, gardząc utartemi szlakami, z trudem i mozołem przedzierają się przez wciąż jeszcze według nich dziewiczą puszczę poezji, której pragną być pionierami. Stoimy na tem stanowisku, że powaga dziejów, w których żyjemy, wymaga i szczególnie poważnego ustosunkowania się do słowa, będącego materjałem twórczości literackiej: że w okresie inflacji poezji budulcem tym posługiwać się należy ostrożnie, ekonomicznie, z pełnem poczuciem odpowiedzialności, cechującej świadomego artystę. Stąd sympatje, wiążące nas z awangardą poetycką, wysuwającą celowość ekonomicznej konstrukcji wiersza jako jedno z zasadniczych wymagań współczesnej poezji. Ciążąc jednak ku awangardzie, „Kamena" nie zajmowała nigdy stanowiska krańcowo jednostronnego, dlatego też na jej kartach znajdowały się utwory i innych pisarzy.

Żyjemy w czasach ogólnego fermentu i przetwarzania się pojęć. Dotyczy to w równej mierze i poezji. Nic niema pewnego i ustalonego, wszystko jest w stanie płynnym. Kryterja, dobre wczoraj, dziś mogą zmienić się do niepoznania. Tem tłumaczy się szeroko podjęta w „Kamenie" dyskusja na temat tzw. „treści" i „formy" w poezji i ich wzajemnego stosunku. Ciekawie rozwinięta przez Czechowicza, Czernika, Czuchnowskiego i Przybosia, nie jest bynajmniej jeszcze zakończona i dalszy ciąg jej usłyszymy w roku przyszłym.

Będąc pismem literackim, „Kamena" nie wiąże się z żadnym obozem politycznym. Chlubą naszą właśnie jest ta okoliczność, że utrzymując się zupełnie samodzielnie, nie licząc jednorazowego subsydium Zw. Literatów w Lublinie w kwocie 20 zł na numer mickiewiczowski, potrafiliśmy zachować całkowitą niezależność ideową. Rozumiemy jednak dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i opierającej się na niem: zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przełomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata z konającym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem, uspostaciowionym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie badykady, nietylko dlatego, że tak nam każe proste poczucie sprawiedliwości, lecz i z tej przyczyny, że ustrój kapitalistyczny, odegrawszy już swoją rolę, stał się przeżytkiem, tamującym w procesie twórczym rozwoju cywilizacji dopływ świeżych, zdrowych sił proletarjatu. Stąd wynika stanowisko, jakie zajęliśmy po stłumieniu rewolucji austriackiej przez rząd Dolfussa, a któremu daliśmy wyraz w hołdzie, złożonym bohaterstwu austriackiej klasy robotniczej w No 7 „Kameny".

To właśnie rzeczowe ustosunkowanie się do współczesności dzisiejszej każe „Kamenie", abstrahując znowu od wszelkiej polityki, zwrócić specjalną uwagę na kulturę narodów słowiańskich, najbliższych nam etnicznie a w równej mierze zagrożonych przez apetyty faszystowsko-hitlerowskich rekinów, — narodów, mających mało przeszkód, dzielących je, zato wiele punktów stycznych — łączących. Przytem kulturę tych narodów, młodą jeszcze, choć nieraz bardzo ciekawą poza nielicznymi wyjątkami, dotyczącymi naszych najbliższych sąsiadów — Rosjan i w mniejszym stopniu — Czechów, najmniej znamy. Dlatego „Kamena" z literatury niepolskiej najwięcej uwzględniała słowiańską, dając w dziewięciu numerach przekłady utworów bułgarskich, czeskich, słowackich, serbo-łużyckich, rosyjskich i ukraińskich. Najszerzej potraktowaliśmy poezję najbliższych naszych sąsiadów — czeską, słowacką i rosyjską. Nie uwzględniliśmy dotychczas twórczości jugosłowiańskiej: chorwackiej, serbskiej i słoweńskiej oraz białoruskiej. Braki te uzupełnimy w roku przyszłym: 1 numer rocznika drugiego „Kameny" będzie poświęcony poezji jugosłowiańskiej. Koroną naszej tegorocznej akcji, zmierzającej do zbliżenia kulturalnego narodów słowiańskich jest obecny numer — mickiewiczowski. W uznaniu dla zasług wielkiego poety, jednego z pierwszych głosicieli jedności słowiańskiej, obok głosów polskich znajdujemy tu głos Rosjanina, Słowaka i Ukraińca z uwzględnieniem odpowiednich języków. Jest to pierwsza nasza próba tego rodzaju. W przyszłym roku projektujemy wydanie specjalnego numeru tatrzańskiego, zredagowanego wespół z literatami słowackimi.

Z literatury zachodnio-europejskiej uwzględniliśmy w tym roku poezję angielską, francuską i włoską. W przyszłości zajmiemy się literaturą i innych narodów europejskich, a zwłaszcza naszych sąsiadów: Rumunów i Litwinów.

Dotychczasowe uwzględnienie w większej mierze utworów, pisanych mową wiązaną, nadało „Kamenie" w roku bieżącym charakter nieco jednostronny pisma raczej poetyckiego. Zdajemy sobie z tego sprawę i w przyszłości postaramy się zająć w większym stopniu prozą literacką.

Przystępując do wydawania „Kameny", nie rezygnując bynajmniej z dalszej ekspansji, uważaliśmy, że pismo to w pierwszym rzędzie służyć powinno najbliższemu regjonowi... Stąd przeważnie regjonalny charakter naszych wkładek linorytowych. Stąd wiele nazwisk pisarzy lubelskich na liście naszych współpracowników. Stąd dział „Pro urbe sua", będący nietylko kurtuazyjnym gestem w stosunku do miasta, w którym „Kamena" wychodzi. Dział ten dotychczas najbardziej uwzględniał życie teatralne Chełma. Wiemy o tej jednostronności i chcielibyśmy w roku przyszłym poświęcić więcej uwagi całokształtowi zagadnień kulturalnych, dotyczących naszego miasta, gdyby... gdyby nie pewna okoliczność, a mianowicie wątpliwość, czy wogóle dział ten należy pozostawić. Bo przecież przeznaczony jest dla Chełma, a kto tu „Kamenę" prenumeruje i czyta? Bądźmy szczerzy i nie owijajmy sprawy w bawełnę. Kto z miejscowej tzw. inteligencji interesuje się „Kamenę" i losem tego pisma? Na liście naszych prenumeratów nie figuruje ani jeden miejscowy lekarz, ani jeden adwokat, ani jeden farmaceuta, żaden oficer, nikt z inżynierów, rejentów, komorników, geometrów, urzędników Starostwa, Magistratu, banków itd. Garść nauczycielstwa i trochę młodzieży szkolnej — oto nasi czytelnicy. Oh, inteligencja nasza jest rozbrajająco szczera. Nie sądzi, by wydawanie pisma literackiego w Chełmie podnosiło to miasto pod względem kulturalnym. Nie stać jej nawet na snobizm. Poprostu stwierdza, że sprawy, poruszane w „Kamenie" są jej absolutnie obce i obojętne. Nawet nie bawi się w „wypada" i nie uważa za swój obowiązek poparcia mizerną kwotą czterozłotową (bo tyle wynosi roczna prenumerata „Kameny") tej placówki. Więc może w przyszłym roku rubrykę „Pro urbe sua" znieść zupełnie wypadnie. Skoro nas więcej poza Chełmem, niż w Chełmie czytają...

Powołanie do życia pisma literackiego w 30-tysięcznem mieście prowincjonalnem, nie posiadającem odpowiednich zakładów graficznych (stąd braki „Kameny" w szacie zewnętrznej) było z naszej strony eksperymentem. Czy doświadczenie udało się? I tak i nie. Tak, gdyż doznaliśmy jak najgorętszego, zupełnie bezinteresownego poparcia ze strony tych wszystkich pisarzy, do których zwróciliśmy się z prośbą o współpracę. Na tem miejscu składamy im najserdeczniejsze podziękowanie, gdyż bez ich pomocy „Kamena" nie byłaby „Kamenę". Ze strony szeregu poważnych pism literackich i dzienników. („Wiadomości Literackie" „Pion", „Zet", „Sygnały", „Zagary", „Robotnik", „Walka" i in.) pismo nasze spotkało się ze zrozumieniem, życzliwą oceną i zachętą do dalszej pracy. Wiele listów prywatnych, otrzymywanych przez redakcję od osób zupełnie nieznanych, a wyrażających słowa uznania, podtrzymywało nas w trudnych chwilach i zachęcało do wytrwania. To wszystko są aktywa „Kameny" — o tyle więc mówić możemy, że eksperyment nasz się udał.

Ale w parze z tą życzliwością i sympatją, jaka spotkała naszą pracę, nie szła pomoc materjalna, którą mogliby nam okazać wszyscy nasi przyjaciele przez wpisanie się na listę prenumeratorów „Kameny". Wydawnictwo nasze od początku było przedsiębiorstwem deficytowem i takiem pozostało do końca. Prawda, sytuacja obecnie zmieniła się nieco na lepsze, ale daleko nam jeszcze do samowystarczalności. A tymczasem 200 prenumeratorów utrzymałoby „Kamenę". Ta niewielka liczba mogłaby się znaleźć nawet i w samym Chełmie. Ale czyż nie znajdzie się w Lublinie, Zamościu i Równem? Czyż nie znajdzie się w całej Polsce?

Eksperyment nasz nie jest zakończony. Trwa on dalej. Zobaczymy, co przyniesie rok następny, który rozpoczniemy z wrześniem. Od dalszego poparcia nietylko moralnego, lecz i materjalnego „Kameny", będzie zależał jej przyszły rozwój. Czy potrafi utrzymać się w dalszym ciągu jako miesięcznik, czy też wypadnie przekształcić ją na dwumiesięcznik lub kwartalnik, oczywiście o zwiększonej objętości. Ano, przyszłość pokaże. Chcemy być optymistami.

(„Kamena", nr 10, czerwiec 1934)

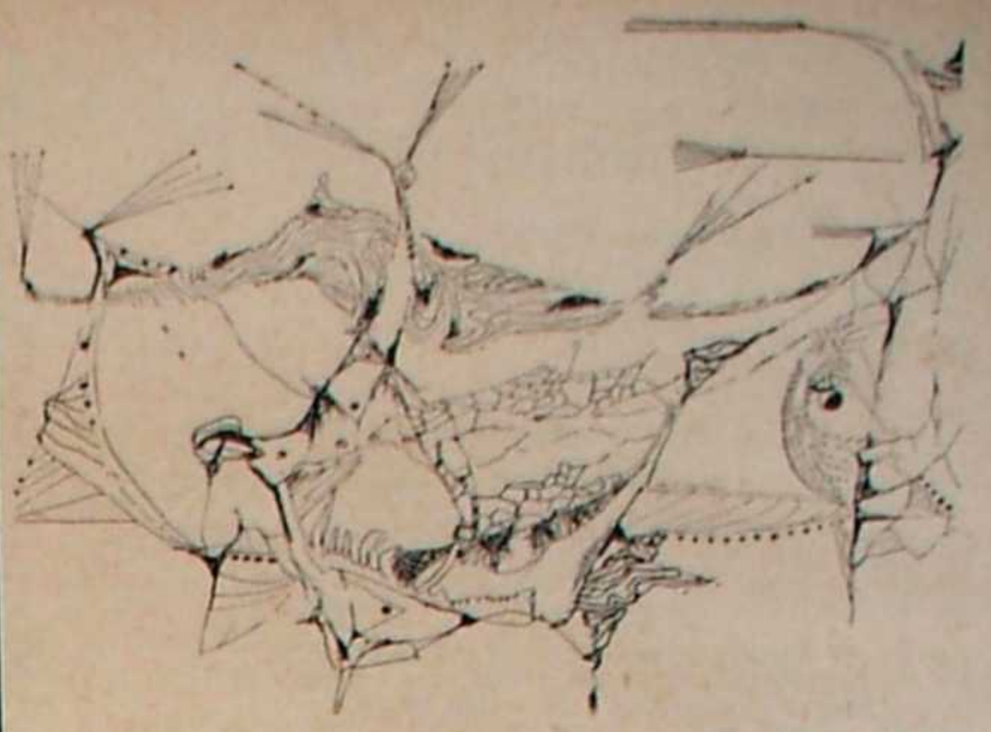

Rys. Zb. Strzałkowski

Narodziny poety

(W pierwszą rocznicę śmierci Wacława Mrozowskiego)

Czesław Twardzik

O TYM, *że słowa z warg / będą padały na ziemię / jak meteory ptakiem — / nie wiedziałem. I Rzeczywiście* — tym właśnie tytułem cytowanego wiersza można było potwierdzić metaforyczną wypowiedź samego autora, nie przeczuwającego jeszcze swojej drogi poetyckiej u progu młodości. Ani jego rodzice, ani jego nauczyciele i rówieśnicy nie dostrzegli wtedy w tym żwawym, porywczym chłopcu przyszłego budowniczego *Mostów nad życiem*. Ale wtedy tj. w międzywojennych latach dwudziestych, chłopięcą, a później młodzieńczą sylwetkę Wacka rysowały wyraźne cechy ujmującej oryginalności. Starszy ode mnie o dwa lata, mieszkający na tej samej ulicy kolega imponował mi swoimi walorami fizycznymi i elegancką powierzchownością, kiedy idąc do szkoły w rozwianym płaszczu, z zawsze podniesionym — bez względu na pogodę — kołnierzem (ten styl zachował do końca), w kokieteryjnie ułożonej na głowie, ze złamanym modnie daszkiem czapce — przyciągał ciepłe spojrzenia dziewcząt i budził respekt nawet niebezpiecznych andrusów, w których wówczas obfitowała ta dzielnica Chełma nazywana od niepamiętnych czasów „hrubieszowską rogatką". Nigdy nikomu nie pozwalał dmuchać sobie w kaszę, nawet wtedy kiedy obrona „kaszy" pociągała za sobą poważne ryzyko. Nie zapomnę, jak razu pewnego, idącego z koleżanką (a może z siostrą Krysią — nie pamiętam) Wacława zaczepił brutalnie pewien sławny ulicznik „Lonek": „Te, student, rzuć to ciało". Czułem, że nie obejdzie się tutaj bez mojej wątpliwej zresztą pomocy. Ale odprawa, jaką w pięknym stylu dzisiejszego mistrza Kuleja dał niefortunnemu napastnikowi, nie wymagała mojego udziału i otworzyła mu wolną bezpieczną drogę o każdej porze dnia.

Wacława, jak go pamiętam od jego gimnazjalnych lat, cechowała odwaga, czasem przekora i upór, ale też wrażliwość, szczerość i pełna oddania koleżeńskość. Główną jednak jego cechą, dominującą i przemożna, która stanowiła z jednej strony źródło jego siły i późniejszych sukcesów, z drugiej — jakże często — przyczynę jego życiowych konfliktów i porażek — była ambicja. Czy wygórowana ambicja, jak chcą niektórzy? Sam pragnął stanowić o swojej decyzji, pragnął być kimś nieprzeciętnym i marzył — jak pisał w jednym z późniejszych wierszy — *o jakiej sławie, która gdzieś czeka.*

A sława czekała już w murach Seminarium Nauczycielskiego, do którego został przeniesiony w 1929 r. na skutek, tym razem nie własnej decyzji. Jeżeli kogokolwiek z tych gimnazjalnych lat szczerze żałował, to tylko ulubionej sztubackim sercem nauczycielki *Franczeski — Beatrycze młodości*, o której często wspominał m. in. w dedykowanym mi przed śmiercią wierszu o Chełmie.

Tak więc z przejściem do nowej szkoły rozpoczął się drugi rozdział jego życia, bo właśnie dopiero tutaj, a nie *w gimnazjum liryczny pocisk pękł* (wybacz mi to „sprostowanie", drogi Cieniu), kiedy *ktoś go mocny porwał za włosy i spojrzał w jego oblicze.* Spojrzał i roztoczył swoją opiekę. Tak, to był zacytowany tym razem, chociaż nie in extenso, Kazimierz Andrzej Jaworski. Czy mógłby dziś ktokolwiek z perspektywy wielu lat żałować takiego obrotu sprawy?

Nie ujmując wysokich walorów dydaktycznych i wychowawczych chełmskiego Gimnazjum im. St. Czarnieckiego, cieszącego się do dziś dobrą sławą, należy stwierdzić, że trudna i skomplikowana struktura psychiczna Wacława Mrozowskiego dopiero tutaj znalazła prawo azylu i sprzyjający klimat. A co za warunki dla sprawnych jego mięśni, które pod czułym okiem profesora Wirskiego miały się dopiero „wypowiedzieć" świetnymi wynikami w sporcie, a zwłaszcza w skoku wzwyż, biegach i dysku. Wacław był mistrzem w tych dyscyplinach. Niezłą też miał z niego pociechę w muzyce kapryśny i surowy profesor Wilczyński w porównaniu z rzępolącymi ze zmiennym szczęściem profanami Paganiniego. Gorzej wiodło się „uskrzydlonemu rymarzowi" na lekcjach fizyki i matematyki.

Ale powróćmy na seminaryjny Parnas. Nie, nie od razu była poezja. Chociaż wszyscy uczniowie naszego polonisty, porwani jego przykładem oddawali się tej pięknej pasji, pochłaniając jego wiersze, a starsi jak Jan Szczawiej i Wit Kasperski pisali już własne utwory, to w przypadku Wacława przedprożem twórczości własnej były recytacja i teatr.

Miał zadziwiającą pamięć. Bez większego trudu przyswajał długie wiersze a nawet całe rozdziały prozy mówił z pamięci. A mówił z uczuciem i ze zrozumieniem tekstu, bezbłędnie wyczuwając intencję autora. Był świetnym interpretatorem poezji, miał spokojną, wyraźną dykcję. W międzyszkolnych turniejach recytatorskich mógł z nim tylko rywalizować nasz wspólny kolega, późniejszy autor dwóch zbiorków poetyckich, Zdzisław Popowski i młodsza od nich, gimnazjalistka, rewelacyjna Ola Potoczna, której zresztą udało się raz zdobyć pierwszą nagrodę, z czego byłem bardzo dumny... Rywalizacja ze Zdzisławem, która drażniła wyczuloną ambicję Waca — bo i tak go nazywano — zaostrzyła się później, kiedy obaj zaczęli pisać i wydawać swoje wiersze. Tutaj muszę się przyznać do nieskromnej radości, że dzięki moim długim a niedostrzegalnym zabiegom udało mi się wreszcie pojednać zniechęconych do siebie, a przecież ceniących się wzajemnie przyjaciół. Zorganizowany przed kilkoma laty Zjazd Twórców Ziemi Chełmskiej dokonał reszty.

Dzięki nieprzeciętnym zdolnościom recytatorskim stał się Wacław „gwiazdorem" szkolnego teatru. Z jaką swobodą i rutyną poruszał się po scenie w roli Sganarela z „Lekarza mimo woli" albo jako Wernyhora z „Wesela" Wyspiańskiego. Ten aktorski start otworzył mu później drogę do Intytutu

Dokończenie na str. 8

Wacław Mrozowski

Przypomnienie

Pośród starych kamiennych zaułków
błądzę — Don Kichot tej ziemi.
Księżyc z woskowym czołem smutku
skrada się po rogach kamienic,
pobladły przystaje u Fary,
na Olejnej do okien zagląda.
Na Bramie Trynitarskiej stanęły zegary —
Lublin nocą — śpiąca Gioconda.
W nadbystrzyckich mgłach o pięknie nuci, o złotych września warkoczach,
gwiazdy leżą na dachach miedzianych jak monety na umarłych oczach.
Na Ratuszu złowróżebne puszcze umilkły w niewybuchłej ciszy.
Zatrzymaj się ze mną przechodniu. Pomilczmy obaj! Słyszysz?
To było już dawno bardzo. Lecz czas nie zmyje goryczy,
do dziś syreny nad miastem zwiastują alarm lotniczy.

Tamtej dzwoniącej jesieni przybranej w kiry i tiule,
jak wdowa przez ćwierćwiecze chodząca w żałobie
po żniwach w huku blasków, oczyszczona bólem
świeżej, dymiącej ziemi na poety grobie.

Ciekawyś czemu błąkam się po tylu latach?
Tu pod każdym kamieniem moja młodość leży
razem z kośćmi przyjaciół rozsianymi na cmentarzach świata
w mogiłach nieznanych poetów — żołnierzy.

Szukam ich dziś na próżno, samotnie zgubiony
z sercem płonącym zniczem,
i wiem, że bomba, którą jutro zostanę trafiony
spopieli mnie z Czechowiczem
w czas żniw, huku, blasków, potopu, ciemności...

Tak umiera Don Kichot w objęciach Giocondy
z miłości...

Spojrzenie

Widzisz, niedobrze ze mną drogi Johnie,
na ostatnim wirażu wyleciałem z toru,
ale proszę cię, nie mów o tym mojej żonie —
byłem pijany, ty także, nie wiem czy pamiętasz? —
i zawał, carcinoma laringis i cmentarz
w dalekim, a tak sercu bliskim Chełmie...

I choć przegrałem stawkę jaką było życie,
biegłem przez nie w malignie i do końca dumny
(od kołyski sosnowej do sosnowej trumny)
pełen wiary, że przecież przekaże ktoś słowo
tym, którzy czytać będą o mojej legendzie,
gdy w popiół się obrócę, gdy mnie już nie będzie,
gdy poezja i dobroć wskrzeszą mnie na nowo.

Cóż dla nich świat? I jaki? Zwierząt, skorupiaków,
ludzi? Lecz gdzież są ludzie? Żyją w innym świecie.
Mikroskop go określił, oko znieczuliło
i boleją nad śmiercią uczuć z Czarnolasu.

Oto świat nowotworów w mózgu uczonego,
papirus tajemniczy, krzyżówka nadziei
dla nas, którzy „na śmierć idziem po kolei".

To jest ten inny świat: wirusów w których błądzą
wtajemniczeni w piśmie. Ale ja nie błądzę.
Znam smak swojego życia, które już się kończy
bezbronnie na granicy miłości i Johna
(A on to przecie ziarno jęczmienia i Żona) —
Chcę pogodzić żywioły. Lecz ogień i wodę
niesposób. A lat przepadłych żal mi
i nikt nie wspomni o mnie na pustkowiu.

* * *

John Barleycorn jak rzadko wyszedł o północy,
na stole niedopity jarzębiak i kawa
i nagle zobaczyłem śmierci smutne oczy
gdy celnym ciosem w serce trafił we mnie zawał.

Pot wystąpił na czoło zimny i ramiona
zwiotczały jak łodyga malwy mrozem ścięta —
Czas zastygł, w oczach ciemność, w tej ciemności żona
jak żałobnik. Nic więcej. Na szyi z powrozem
leżałem jak skazaniec czekając na topór.

NARODZINY POETY

Dokończenie ze str. 7

„Reduta", z którym współpracował w latach 1934—1936 pod kierunkiem Juliusza Osterwy, a po wojnie — do Centralnego Domu Żołnierza w Łodzi, gdzie występował jako aktor. W późniejszych już latach, kiedy występował na licznych spotkaniach autorskich te utrwalone już cechy aktorstwa (nie mylić z pozą) i talent recytatorski stanowiły pewnego rodzaju osobliwość wśród pisarzy.

Tymczasem w Chełmie powstało pismo młodzieży szkół średnich „Spójnia", którego Wacław był członkiem komitetu redakcyjnego, a następnie redaktorem naczelnym. W pierwszym numerze debiutuje aż czterema wierszami: *Pokonanemu zwycięzcy Żwirce*, *Maruder życia*, *Nieznajomej* i *Tobie*. Dwa ostatnie, jak łatwo się domyśleć, to erotyki, za które potem ksiądz Górka na lekcji religii nie omieszkał mu dobrotliwie przyganić swoim „za wcześnie, kwiatku, za wcześnie". Być może za wcześnie też byłoby dopatrywać się w jednym z tych wierszy katastroficznych motywów, ale obok erotycznej nuty odezwało się już chyba jakieś dalekie ich echo: *Gorące łzy miłości wiszą u mych powiek, / bezsenne noce z myślą o tobie spędzone / wiem jedno: jestem szczęśliwy człowiek / gdzie obrócić mam oczy? w którą mam iść stronę?* Po latach przekonaliśmy się, ile smutnej prawdy zawierała ta zwrotka.

Pełną aktywność twórczą i organizatorską przejawiał Wacław w Kole Literackim im. Stefana Żeromskiego „Pryzmaty", jak również w pismach i jednodniówkach szkolnych, a następnie w „Kamenie". Był członkiem komitetu redakcyjnego ogólnopolskiego pisma młodzieżowego wydawanego w Warszawie „Kuźnia Młodych". W 1935 r. opublikował *Antologię poezji szkolnej*. Tak oto już w wieku szkolnym, na IV kursie Seminarium, przypina Wacław prawdziwe ostrogi poetyckie, kiedy w witrynie drukarni Bronfelda pojawia się jego pierwszy tomik poetycki *Mosty nad życiem*. W następnym 1934 roku wydaje drugi — pt. *Rzeczywiście*. W obu zbiorkach fascynowała nas świeżość tematu, muzyczność i malowniczość, jak również oryginalna, czasem szokująca a nawet drażniąca metaforyka, którą kontrowersyjnie oceniała ówczesna krytyka i czytelnicy. Ale własny swój dźwięk odnaleźć miał Wacław dopiero w następnych zbiorach. Obie te młodzieńcze pozycje, chociaż nie były jeszcze spełnieniem najczystszej poezji, zapowiadały już przecież prawdziwego poetę, czemu dał wyraz Stanisław Czernik w swoim szkicu o poetach Lubelszczyzny, pisząc m. in. *Mrozowski przedstawia bardzo interesującą obietnicę*.

Spełniły się sny o sławie. Mijały lata, rósł dorobek poetycki, dojrzewał warsztat twórczy. Mrozowski pozostawił 12 książek, większość to tomy poezji. Lata wojny przerwały nasze kontakty. O swoich losach opowiedział mi po wielu długich latach, kiedy zasiedliśmy do stolika wraz z nieodstępnym jego przyjacielem Johnem Barleycornem, którego zapożyczonym od Roberta Burnsa imieniem miał kiedyś nazwać swój ostatni tom poświęcony tej żałosnej przyjaźni. Prowadziliśmy potem żywą korespondencję. W listach Wacława przebijała wielka tęsknota do rodzinnego miasta, czuł się jego obywatelem, interesowali go dawni znajomi i nowe środowisko, rozwój miasta i sprawy kulturalne, postulował wiele inicjatyw. Pisał m. in. *Chciałbym kiedyś porozmawiać z przewodniczącym Moskalukiem i kierownikiem Stachirą, może to coś da. Męczy mnie sprawa muzeum literatury i sztuki chełmskiej. Jest przecież kupa materiałów, a i ja już mam całą biblioteczkę. Włączyć do tego obrazy Waśniewskiego, Sosnowskiego i Ścibiora. To byłoby coś. Kustosz już jest — niech ci dadzą trzy tysiące (!?) i sprawa prosta. Lokal? Jakieś dwa pokoje w PDK-u się chyba znajdzie. Trzeba to zrobić póki my jeszcze żyjemy. (...) Jakie to smutne.* Był szczery i stawiał sprawy jasno. Nazywał mnie żartobliwie *ambasadorem starej wiary*, *ostatnim Mohikaninem* itp. Jakże się cieszył kiedy do starych „pryzmatowców" doszlusowali młodsi. Pozytywnie oceniał ich wiersze, pisząc: *Okoń i Steszuk to dobra zapowiedź*. Nie mylił się.

Ale z Łodzi zaczęły napływać coraz smutniejsze wieści. Rak, który początkowo ujawnił się w gardle coraz natarczywiej atakował osłabiony nałogiem organizm. Pisał o tym i Wacław i jego żona która znając lepiej od niego opinię lekarzy, informowała mnie z przerażeniem o postępującej szybko chorobie. Zbliżał się biologiczny i artystyczny kres autora *Akwarium*. Zdawał sobie z tego sprawę, pisząc: *Czuję się słabo, męczę się okropnie. Struny głosowe nabrzmiały, żre je rak i nikotyna, ale przestać palić nie mam siły. Żyję stale pod strachem i nerwy nie wytrzymują już. Stałem się leniwy i ciężko mi pracować, mimo że mam sporo do zrobienia i wiem o tym, że powinienem śpieszyć się...*

Ostatni raz odwiedziłem Wacława w maju, a więc na cztery miesiące przed jego śmiercią. Jaki żałosny widok przedstawiał swoją osobą. Wychudły, mocno pochylony, z brodą, w długim, niebieskim szlafroku dreptał z trudem, mimo moich protestów, po mieszkaniu, pomagając „króliczkowi" jak nazywał swoją żonę, w podejmowaniu swojego krajana. Wódka która znalazła się na stole już mu nie mogła zaszkodzić...

Przeciwnie, podniecony alkoholem czuł się, jak nas zapewniał, znakomicie. Mówił o najwierniejszych przyjaciołach, o Kaju, od którego właśnie otrzymał ciepły list, o zaczętych pamiętnikach, o *Cyganerii*, której drugiego wydania bardzo pragnął, wznosił optymistyczne toasty, a nawet dowcipkował.

I ja starałem się, chociaż nie było to łatwe, wprowadzić nastrój pogodny, prowokowałem do humoru. Dopiero kiedy przy końcu biesiady Wacław zaczął nam czytać swój ostatni wiersz o Chełmie i kiedy przy słowach *Wiatr mosiądzem liście zamiata (...) i wciąż woła mnie do Chełma, woła* — na drgających policzkach pojawiły się łzy — oboje, ja i Irena pochyliliśmy twarze, aby ukryć i swoje.

To był Wacław Mrozowski. Prawdziwy przyjaciel, prawdziwy dobry, nieszczęśliwy człowiek, uroczy cygan, kpiarz, domator i — jak sam pisał — *choć jak smok gorzałę chlał, poetą bywał kiedy chciał*. Odważna i przerażająca wiwisekcja, jakiej dokonał na własnym życiu w tomie *Z Johnem Barleycornem*, dowiodła tej prawdy.

Ostatnim z lubelskich przyjaciół, którzy widzieli się z nim przed śmiercią był dr Roman Rosiak. A kiedy na chwilę zostali sami, Wacław — jak to twierdzi autor pięknego wspomnienia — miał wyrzec te słowa: *Wiesz, jeśli po tamtej stronie jeszcze coś jest, przyjdę do ciebie, czekaj...* Podobno Roman czekał. Nikt nie przyszedł. Tak. Po tamtej stronie jako „jeden z pierwszych" złożył ziemi swe prochy, lecz po tej stronie żyje pieśń, pieśń żarliwa, czysta, prosta, ludzka i wzruszająca.

Śpiewaj więc piękny, dumny proroczy Marzycielu:
Z motylich skrzydeł muzyczne wianki splatam, aby tęczą zdobiły skroń, jeden z pierwszych polegnę na tarczy, a tam nieśmiertelników woń.

(Z książki „Wybór wierszy", która wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego).

Czesław Twardzik

Jalu Kurek

Dla jagniątka epitafium

EKSPLODUJĄ ogrody, a nad ogrodami
przelatuje o świcie maleńki sztuczny księżyc,
matematycznie skroplona zabawka dla dzieci,
osiemdziesiąt pięć rozświeconych kilogramów.
NAGIE dzieciątko
rozdrgane płaczem,
gdzie zmieści się tyle szczęścia,
com je w ciebie wmajaczył?
Ziemia się burzy, słońce pęka,
niedźwiedzica zapomina o młodych,
krąży mózg rozżarzony, wprawiony w obrót przyrody.
BŁYSK nagły poraża bezsilne.
Czyje to serce pękło?
Opada zwietrzałe mięso liścia
w przeludnioną pustkę,
gałęzie załamują ręce,
ręce załamane płaczą.
Gdzie, z któregom pił, źródełko
pod przelatującym księżycem
Zasypane rozpaczą.
ŻEGNAJ
Agnieszko,
łuku przeczysty,
strzaskane skrzypce oddechu.

Rozmowa z Janem Parandowskim

Dokończenie ze str. 1

tout court. Wyczuwam go w myślach, w odczuciach, w reakcjach. Jeśli znam dobrze tamten czas, tamtych ludzi, to są mi tak bliscy, że mogę nie dostrzegać tej odległości czasowej, jaka mnie od tamtej epoki dzieli. Bardzo często uderza mnie teraźniejszość czy aktualność jakiegoś tekstu.

— Jako wieloletni prezes polskiego PEN-CLUBU zajmował się Pan różnymi stronami egzystencji pisarza i literatury. Do Pana należała także, inicjatywa zorganizowania muzeum literatury polskiej. Jaki był sens, jak się obecnie przedstawia los tej inicjatywy?

— Istotnie, projekt zorganizowania muzeum literatury wyszedł ode mnie jeszcze przed wojną. Jego siedzibę widziałem w domu Kraszewskiego przy ulicy Mokotowskiej. Któż bardziej od Kraszewskiego, którego całe życie oddane było literaturze, nadawałby się na patrona Muzeum? Zwracałem się do różnych ludzi, rozmawiałem z muzeologami, pozyskałem przychylność prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego. Mimo to projekt upadł. Właściciel domu Kraszewskiego zażądał za niego milion złotych, co było sumą zawrotną, no a wkrótce wybuchła wojna... Po wojnie wracałem do tego projektu. Właściwie ciągle o tym myślę, żeby dom ten odzyskać i oddać go na cele, do których jest niejako przeznaczony. Jest co prawda Muzeum im. Adama Mickiewicza w Warszawie, które spełnia pewne funkcje muzeum literatury. Ma coraz bogatsze zbiory, ale związane są one przede wszystkim z okresem romantyzmu. To muzeum, o którym myślę, mogłoby być poświęcone nowszej literaturze, np. od 1850 r. Muzeum takie jest koniecznością, bo wiele pamiątek znajduje się po różnych zakątkach, bez opieki. Takich miejsc jak Chata Żeromskiego, jak Muzeum Bolesława Prusa, jak Czarnolas mamy mało, potrzeba ich więcej. Ale muzeum literatury spełniałoby także inne zadania — gromadziłoby pamiątki, rękopisy, wydania, podejmowałoby prace badawcze i wydawnicze, organizowałoby odpowiednie imprezy. Zresztą, gdy się zacznie, nabierze rozmachu, odkryją się wszystkie możliwości i perspektywy takiego muzeum. W jego zakresie działania byłaby także opieka nad spuścizną współczesnych pisarzy, która często ulega rozproszeniu, albo nawet narażona jest na niszczenie.

— Miejsce, w którym rozmawiamy — park i pałac nałęczowski — a także pismo, dla którego rozmowa ta jest przeznaczona, skłaniają do zapytania o czasy lubelskie, kiedy to — zaraz po wojnie — uczestniczył Pan żywo w pracach literackiego środowiska. Jak się te czasy zapisały w Pańskiej biografii pisarskiej?

— To są bardzo ważne lata, to mój powrót do życia. Od 1945 do 1948 roku pracowałem w Lublinie jako profesor KUL, a potem jeszcze przez parę lat dojeżdżałem z Warszawy na wykłady. Były to dla mnie dobre lata. Przyszły po ugorze, po smutnym okresie okupacji. Napisałem w tym okresie wiele, wydałem kilka książek. Choćby *Godzina śródziemnomorska*. Znalazły się w niej i rzeczy z czasu okupacji, ale większość została napisana w Lublinie. Lubelskie wykłady umożliwiły powstanie *Alchemii słowa*. To, co jest treścią tej książki, było przez jeden rok przedmiotem moich wykładów. Dzięki nim mogłem w całości ukończyć książkę. *Powrót do życia*, chociaż wyszedł znacznie później, pisałem zaraz po wojnie. Na jednym z lubelskich poranków literackich, który zagajał i na którym przewodniczył Juliusz Kleiner, czytałem fragment tej właśnie książki. Napisałem wtedy także niektóre opowiadania, które weszły później do *Zegara słonecznego*.

— A Nałęczów? Które to już z nim spotkanie?

Po raz pierwszy byłem w Nałęczowie w okresie bardzo dramatycznym — w sierpniu 1939 roku. Potem, w r. 1948, przyjechałem tu na krótki czas z Lublina. No i teraz po raz trzeci. Dla pisarza jest to miejsce bardzo dobre, wymarzone. Urok tradycji Prusa i Żeromskiego działa tu niemal namacalnie. No i ta piękna zieleń miasta-ogrodu, pośród której czuję się naprawdę doskonale.

— W nałęczowskim Pałacu Małachowskich spotkał się Pan niedawno ze swoimi czytelnikami. Przyszło ponad dwieście osób. Wielu ludzi stało, inni obsiedli podium, na którym się Pan znajdował. Atmosfera spotkania była wyjątkowo ciepła i serdeczna. Czytane fragmenty powieści, pisanej także w czasie pobytu w Nałęczowie, każą oczekiwać rzeczy bardzo interesującej. Czy zechciałby Pan coś o niej powiedzieć?

— Pisałem tę powieść istotnie i tutaj. Wziąłem ze sobą zeszyt, żeby nie przerywać pracy i przeczytałem fragmenty, choć nie miałem zamiaru tego robić. Ta rzecz dopiero się kształtuje, a nie lubię o pracach dopiero zaczętych mówić. Pisanie tej powieści zajmie mi przynajmniej rok. Podobnych do tego zeszytu mam więcej, są tam utwory gotowe i pozaczynane. Mam już gotową rzecz obszerniejszą, niż powieść którą piszę, ale nie chcę o niej jeszcze mówić. Mogę tylko dodać, że Nałęczów dał mu dużo, ożywił jakby moje pióro.

Rozmowę prowadził

Tadeusz Kłak

NAD ARALEM

Romuald Karaś

O Kazachstanie wspominał już Herodot, Strabon, Ptolemeusz. Przez Kazachstan wędrował w latach 1245—1246 pierwszy polski podróżnik, franciszkanin z Wrocławia, zwany Benedyktem Polakiem. Brał on udział w poselstwie Jana da Pian del Carpine, wysłanym do wielkiego chana Mongołów przez papieża Innocentego IV, który usiłował powstrzymać łupieżcze wyprawy przeciw Europie, a równocześnie skierować ekspansję koczowników na tereny rozszerzającego się islamu. O ziemiach dzisiejszego Kazachstanu wzmiankował w „Opisaniu świata" kupiec wenecki, znakomity podróżnik Marco Polo. Ważne miejsce w poznaniu tego ciekawego kraju przypadło Polakom, których najczęściej zesłańcze losy rzucały do Kirgizji, jak mylnie w tym czasie mawiano o terenach zamieszkałych przez Kazachów. Pierwszą historię Kazachstanu napisał Adolf z III części „Dziadów", postać rzeczywista, przyjaciel Mickiewicza — Adolf Januszkiewicz, autor „Listów ze stepów kirgizkich". Jego książka — ostatnio wydana w języku rosyjskim w Ałma Acie — jest kopalnią wiedzy o stepowym narodzie, jego życiu i kulturze, które polski powstaniec 1831 roku poznał dość gruntownie przez ćwierć wieku będąc na zsyłce.

W kazachskich stepach żył Jan Witkiewicz z kręgu wileńskich filomatów, człowiek wielkich zdolności i tragicznego losu, prawdopodobnie pierwowzór literacki Konrada Wallenroda. Władający przed trzydziestką dziewiętnastoma językami Wschodu, cytujący na pamięć Koran, wdał się w wielką grę dyplomatyczną na rzecz carskiej Rosji czy też przeciw. Zginął w nie wyjaśnionych do tej pory okolicznościach w petersburskim hotelu „Paryż". Zagadka jego życia wciąż interesuje historyków radzieckich, a także powieściopisarzy.

Już choćby te dane wydają się dostatecznie frapujące, aby zwrócić uwagę reportera. Ale nie tylko po to wyjeżdżałem do Kazachstanu. Interesował mnie najbardziej współczesny obraz kraju. Życie starałem się poznawać w pewnym stopniu na własnej skórze pracując najpierw jako robotnik w brygadzie, która wyjechała ze Lwowa na tzw. celiny. Dało mi to okazję przyjrzenia się życiu w kazachskim ule. Później wędrowałem już jako dziennikarz po rozległych obszarach Kazachstanu. Szedłem śladem Adolfa z III części Dziadów, konfrontując jego opisy zawarte w „Listach ze stepów kirgizkich" z obecnymi realiami. Unikałem urzędów i oficjalnych informatorów, natomiast interesowałem się przygodnie spotkanymi ludźmi, którym mówiłem „Dzień dobry" i pytałem „Co słychać?". Z tych spotkań, często — jak mi się wydawało — barwnych i niezwykłych, układałem swoje reportaże. Coraz bardziej fascynował mnie kraj i jego mieszkańcy, obywatele stu różnych narodowości. Na każdym kroku doznawałem wiele życzliwości i pomocy, co ciągle mam w sercu i pamięci. Z moich kazachskich wędrówek podpartych lekturą około 40 książek powstał cykl reportaży, który zamierza wydać Wydawnictwo Państwowe „Iskry" w popularnej serii „Naokoło świata".

R. K.

Z SASZĄ jedziemy gazikiem na targ do Aralska. Miasto wielkości Puław. Dość znaczny port ze stocznią remontową statków i licznymi przetwórniami ryb.

Bazar pełen handlujących. Zgiełk, rejwach. Pośpieszne poruszanie się ludzi. Istne mrowisko. Silny zapach wędzonej ryby pomieszany z wonią cebuli i czosnku. Gasimy pragnienie ajranem, sprzedawanym przez starą Kazaszkę. Kupujemy, trochę targując się dla zasady, jednego sazana. Długi, jak ręka. Obły, jak wrzeciono. Królewska ryba ułuszczona złotem. Wątpię, czy jest drugi gatunek równie piękny kształtem i barwą.

Przed nami Jezioro Aralskie, czy jak inni chcą — Morze Aralskie. Kazachowie nazywają go Wyspą. Genialne określenie: wyspa wody wśród oceanu stepów i pustyń. [...]

Gazik skacze po wybojach z wariacką szybkością. Miga tafla wody. Wyspy zarosłe jakimiś krzewami. Linia brzegu daleko wchodząca w morze. Jakiś statek holuje barkę. Nieopodal niego flotylla kutrów. Od jeziora wiatr gna bryzę: usta stają się lekko słone. [...]

Omal nie wyrżnęliśmy w wielki ostry głaz leżący w poprzek drogi. Sasza jednak w porę skręcił, gazikiem rzuciło, rąbnąłem głową o coś żelaznego. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Przychodząc do siebie zauważyłem:

— Świetnie jeździsz, znać dobrą szkołę. Ile już lat?

— Minęło dziesięć.

— Ejże? — zgłosiłem wątpliwość. — Ileż miałeś lat, kiedy zaczynałeś?

— Mniej niż trzeba.

— I tak można?

— Pamiętasz celiny?

— Owszem. Sam byłem.

— Ty?

— Ja?

— Kiedy?

— W zeszłym roku, w kustanajskiej obłasti, w oktiabrskim rejonie.

— Komu innemu możesz to opowiadać, ale nie mnie. Celina już dawno minęła. Pozostało wspomnienie. [...]

Jechaliśmy po prawie zupełnym bezdrożu. Sasza prowadził gazik pewnie, jakby trakt był znaczony.

— Miałem siedemnaście lat i dwa miesiące. Rejkom Komsomołu w Grodnie organizował zaciąg na celiny. Poszedłem na kurs szoferski, trwał miesiąc. Jeździć nie bardzo umieliśmy, ale każdy się pocieszał, że step jest szeroki, jakoś sobie więc poradzimy... Trzeba było przejść badania komisyjne. Pytają o moją metrykę. Wyjaśniam, że dokumenty całej rodziny zginęły w czasie wojny, teraz są odtwarzane. Mikrus byłem, na osiemnaście lat nie wyglądałem, chcieli mnie odwalić, ale chwyciłem się sposobu, spodnie ściągnąłem, zobaczyli, co trzeba i mówią: „Prawda, mężczyzna". Przydzielono mnie do brygady samochodowej...

— Sasza! — krzyknąłem w panicznym strachu. Omal nie wpadliśmy na stado wielbłądów, które prowadził Kazach niewidocznie wychodząc zza górzystego wzniesienia rudych skał i ziemi.

— Czego się boisz? Śmierci? Pochowamy cię w saksaule, to niezwykłe miejsce. Ciesz się, już niedaleko.

Minęliśmy ciężarówkę, którą na wiosenne pastwiska przewozili stado baranów kołchoźnicy czy też sowchoźnicy. Do obmurowanego zbiornika wody, bijącej ze studni artezyjskiej, jakiś pasterz jechał na wielbłądzie, mając za sobą dwa mniejsze dromadery.

Teren stał się niemal zupełnie płaski. Coraz bardziej oddalaliśmy się od Aralu. Coraz więcej było barchanów, przypominających swym wyglądem niektóre płótna abstrakcjonistów.

Na horyzoncie zarysowało się jakieś czarne pasmo, Sasza pruł w jego kierunku, wszystko w gaziku podskakiwało, trzymałem się kurczowo siedzenia licząc na najgorsze. Zrobiło mi się nagle słabo, jakbym miał omdleć.

— Nie śpij, wstawaj — mówił Sasza poszturchując mnie lekko. — Ja myślałem, że cię trochę postraszę, a ty bohater, usnąłeś.

Otworzyłem oczy, ale wydawało mi się, że to jakaś koszmarna zjawa we śnie. U góry — morze przezroczystej wody, a tam, gdzie ja, nieprzebyty las korzeni nie mających pni.

Przeszły mnie ciarki. Wrażenie było niesamowite, obraz saksaułowego lasu nie był do niczego porównywalny. Drzewa, które w nim rosły, nie były drzewami, choć najwyżej sięgały trzech metrów. Nie były to także krzewy. I nie był to w naszym rozumieniu las.

Wygramoliłem się z szoferki. Brak mi było odwagi wchodzić w ten las nie las, w te zarośla nie zarośla. Saksaul nie miał jeszcze listków, małych — jak Sasza tłumaczył — woskowatych zwitków zieleni.

Saksaułowy las dawał jakąś dziwną poświatę. Gałęzie drzew czy krzewów były tak rozmieszczone, że nie rzucały zupełnie cienia. Daleko w głębi coś jakby migało, to owce szukały pożywienia.

Weszliśmy w gęstwinę. Las, prawdziwy las zawsze człowieka przyciąga, saksaul miał coś odrażającego.

Zbieram gałęzie czy też korzenie saksaułu walające się na piachu. Z całym naręczem idę w kierunku gazika. Sasza oprawia sazana. Kraje go na duże dzwonka, płucze wodą z karnistra żartując, że to benzyna, rozkłada mięso na patelni, podlewa olejem z butelki.

Układamy saksaul w pryzmę. Sasza skrapia ją benzyną. Błysk zapałki i płonie ognisko. Po kilku minutach ogień przygasa. Saksaul żarzy się jak koks. Na patelni skwierczy smażący się sazan.

— I ty mówisz, że znasz celinę? Nie, nie znasz, bo celiny już dawno nie ma... Jak my jechaliśmy do Szczuczińska, wiesz, niedaleko od słynnego kurortu Borowoje, to każdy pociąg kolei transsyberyjskiej miał doczepione dwa lub trzy wagony celinników. A kto jechał? I najgorsi, i najlepsi. Ja się chciałem wyrwać z domu dziecka, zażyć swobody, pohulać, poprzestać na dziewięciu klasach, bo już miałem dość nauki. Takich, jak ja, w pięćdziesiątym siódmym roku wyjechało na celiny dwa miliony. Dwa miliony, wyobrażasz sobie. To był szczyt celiny. Wsiadaliśmy w Grodnie do pociągu śpiewając: „Możesz li priedstawit' celiny nie znaja, piebo gołuboje, dymka gołubaja, wsiudu stiepi, stiepi, bez kanca i kraja, celina radnaja, wot wied ty kakaja" i wysiadaliśmy też z tą pieśnią, która rozbrzmiewała całą drogę. Ale reszta, to nie były piosenki, wody nam brakowało, spiekota gorsza niż w tropikach, bo powietrze suche, deszczu na lekarstwo, jedzenie podłe, cały czas paliła nas zgaga z nadkwasoty. Bez kontroli, ani szefa grupy, ani brygadzisty, wszystko się pokiełbasiło, ci, co najwięcej krzyczeli i mieli nam przewodzić, wyparowali, komuś głowę obcięli, a może to była tylko plotka, w każdym razie nie chodziliśmy po miasteczku pojedynczo, bo ostrzegano nas: krwawą zemstę stosują Czeczeni, Czyngisi, Bogarzy, kto im wpadnie w ręce żywy nie wraca, głowę jego można tylko obejrzeć nabitą na sztachetę płotu, paru spadło z rusztowań, mówiono, że przez Czeczenów, czy tych innych nacji przesiedlonych tutaj z Kaukazu za jakąś karę podobno z czasów wojny, diabli wiedzą po prawdzie, jak było, nikt tych spraw nie rozwikłał. My, szoferzy, woziliśmy zboże do Szczuczińska, urodzaj był wielki, pryzmy pszenicy ogromne, nie było siły, aby to wszystko na czas do magazynów dostarczyć. Koło tzw. ambarów, gdzie zboże zsypywaliśmy, tworzyła się kolejka kilometr długa. I tak było zawsze, choć wyładunek samochodu pszenicy nie trwał dłużej niż trzy minuty, bo to wszystko było zautomatyzowane. Ale kłopot, jak się samochód zwalił z płóz, na które trzeba było podjechać tyłem, a to nie wszyscy umieli. Wtedy powstawał zator, każdy klął, czas mu uciekał, przepadała „progresiwka", a myśmy chcieli zarabiać jak najwięcej, bywało, że jednego dnia tyle rubli człowiek zapracowywał, co w Grodnie przez miesiąc, ale myśmy po osiemnaście godzin bez przerwy pszenicę wozili, raz w tygodniu wolne sobie robiąc na remont wozu, wtedy nam dniówka zwykła leciała. Och, urodzaj był wielki, żadną siłą nie można było wywieźć zboża, pszenica leżała w kopach pod gołym niebem i jak deszcz w nią popadał, to się samozapalała, takiego zboża żadne bydlę do pyska nie chciało wziąć, to się tylko nadawało do wyrzucenia. Kopce słomy czasem kołchozy brały na swoje potrzeby, resztę palono na ścierniskach. Pszenica, choć kucykowata, sypała obficie, ach to były złote lata celiny, potem się urodzaje popsuły diabli wiedzą dlaczego, ale wtedy to klęska urodzaju Kazachstan nawiedzała... W Szczuczińsku powstawało nowe osiedle, ludność w miasteczku się podwoiła, czy nawet potroiła. Między nami wybuchały bójki i dochodziło do porachunków. Przeważnie o dziewczyny. Mało, stanowczo za mało ich było. Siedzimy w ośmiu w kinie i zagadujemy kilka dziewczyn, ale one już wcześniej były umówione przez inną grupę, więc kiedy wyszliśmy, już nas obskoczyli. Jak jeden z naszych wyjeżdżał, to się chwalił, że cały bufet wódki może wykupić, tyle ma pieniędzy. Znaleźliśmy go bez pieniędzy i... bez życia. Raz czterech naszych przyszło zupełnie gołych, ale całych. Milicja do wypadków jeździła pełnym samochodem milicjantów. Raz na rynku jeden milicjant chciał interweniować, to facet strzelił do niego, całe szczęście, że go nie trafił. Nie, to nie Czeczeni byli sprawcami, to nasi, bo i swołoczy i żulii zjechało mnóstwo, i trudno się było z nią rozprawić. A Czeczenów poznałem bliżej, raz nawet na weselu byłem, cały czas prawie rozmawiali o Kaukazie, bo pragnęli powrotu, klimat im tutaj nie służył, większość ich zdziesiątkował, wytrzymały najsilniejsze jednostki. Ciekawsze wydało mi się wesele Inguszów. Pan młody nie zna tam panny młodej. Kojarzą bez ich zgody. Panna młoda przez trzy dni musi stać w oknie zasłonięta czarczafem, który każdy, z wyjątkiem pana młodego, może odsłonić. Jej przyszły mąż modli się w oddzielnym domku. Na weselu są tylko sami mężczyźni. Jedni siedzą, drudzy im usługują. Potem się zmieniają. Tańczą ze sobą, bez kobiet. Jak ja byłem na tych weselach, to na Kaukaz wyjeżdżali Osińcy, ale przyszły wtedy wiadomości, że na ich terenach już kto inny się osiedlił, wszyscy inni postanowili pozostać. Wódki oni nie piją, bo im religia mahometańska nie pozwala. Ludzie to dziwni, ale dobrzy. Co kraj, to obyczaj, trzeba i ich rozumieć. Oni nie mogli jednak zrozumieć dlaczego my „braszkę" pijemy, wiesz, to taka miejscowa wódka sprzedawana nielegalnie na „talkuczkach", gdzie — jak milicja nie widzi — wszystko można dostać. „Braszka", to jest cukier, drożdże, chmiel, zacier. Żółta. Jak się wypije nawet trzy szklanki, to jej nie czuć. Potem dopiero zaczyna działać. Kazachowie też dobrzy. Pierwszy raz ich spotkałem na drodze Borowoje—Kokczetawa. Jechałem po jakiś przydział dla bazy. Samochód popsuł mi się na amen, bo myśmy tam zajeżdżali samochody i jak stanął, to mógł pojechać tylko po kapitalnym remoncie, nic innego do przodu go nie popchnęło. Patrzę — ognisko w stepie, jurty. Pić mi się strasznie chciało, w ustach od rana niczego nie miałem. Idę. Przyjmują mnie jako gościa. Kumysem poją. Mocny był. Na drzemkę mi się zbierało, ale usnąć nie mogłem, jeść mi się strasznie chciało. Kobiety rozrabiały mąkę owczym mlekiem. Myślę — będą placki, poproszę, najem się do syta. Ognisko płonęło równym płomieniem, stale ktoś dorzucał kiziaku: to wyschnięte łajna. Patrzę, a Kazaszki w popiół z tych, no, z tych łajen wrzucają ciasto. Nie, powiedziałem sobie, ja takich placków jeść nie będę. Czekam, może czymś mnie poczęstują. Przynieśli ajran, kisłe kobyłe mleko, ale nic do niego. Jeszcze bardziej mi się zaostrzył apetyt. Spoglądam na ognisko. Same g... Nie, choćbym miał z głodu zemrzeć placków z popiołu jeść nie będę. Czas płynie, kiszki coraz bardziej mi grają. Stale patrzę na ognisko. Ładnie płonie. Ten kiziak, to dobry opał — myślę sobie. Szkoda, że wcześniej o tym nic wiedziałem, przecież mógłbym sobie coś piec czy gotować, a tak z braku drzewa w stepie ile razy przyszło mi głodować, bo nie było na czym przyrządzić strawy. Patrzę więc na podpłomyki, coraz ładniej wyglądają, płomień je przyróżowił, niczego sobie podpiekł. Kazaszki zaczęły rozgrzebywać popiół ogniska. Zapachniało. Pierwszy wyciągnąłem rękę. Jeszcze nigdy w życiu nic mi tak nie smakowało, jak te placki wypiekane w popiele z łajen.

Przez cały czas opowiadania Sasza zręcznie manewrował dzwonkami sazana na patelni. Nabierały koloru brązu.

— Jemy — powiedział i sięgnął po chleb zawinięty w ładną serwetkę. — Krój biały, ryba z nim najsmaczniejsza.

Danie było cesarskie. Kucharz doskonały. Jeśli nasz karp stawowy jest sztucznie utuczony, to jego dziki krewniak — sazan, żywi się tym, co uważa za stosowne. Może właśnie dlatego tak wyjątkowo mi smakował.

Spałaszowaliśmy z połowę ryby. Resztę Sasza włożył do wojskowej menażki. Chleb starannie zawinął w serwetkę. Odwrócił się do mnie tyłem, abym go nie widział i... pocałował płótno. Zastanowił mnie ten jego manewr. Rozbudziła się we mnie ciekawość.

Sasza zapuszczał motor. Kto wie, czy nie po raz ostatni spoglądałem na saksaułowy las. Niesamowite wrażenie sprawiały przewrócone pnie, którymi dość gęsto zasłany był piach. W mackach rosnących drzew nie widziałem ani jednego ptaka.

— Pojedziemy najkrótszą drogą.

Dostałem gęsiej skórki. Strach bywa jednak często sojusznikiem rozumu. Zagadnąłem:

— Sasza, ty chcesz, żeby twoja panna w żałobie chodziła? Nie martw się, taką serwetkę od niej wtedy kto inny będzie całował...

Jakbym go złapał na gorącym uczynku. Zmieszał się, choć starał się nie dać tego po sobie poznać.

Jechaliśmy ostrożnie aż do samego Aralu, który ukazał swą srebrną powierzchnię odbijając promienie słońca, jak wielkie lustro. Przy brzegu, mimo że był kwiecień, pływały resztki kry, bowiem jezioro zimą z reguły zamarza.

Sasza prowadził mnie wyboistym półwyspem. Mieliśmy łowić.

— Tu powinny brać — wskazał na dość spore zakole spokojnej wody.

Założyłem na haczyk kawałek chleba. Może coś złakomi się na tę przynętę.

Moja wędka miała saksaułowe wędzisko. Po prostu jakiś kawałek gałęzi czy też korzenia, a może pnia. I końcówka, do której była przyczepiona żyłka, i uchwyt, miały tę samą grubość. Sasza montował jakiś postronek, do którego przyczepił kawałek sznurka z węzłami. Od tych węzłów rozchodziło się kilka kawałków żyłki. Zamiast haczyka z przynętą na końcu żyłki przywiązał kawałek makucha, nieco wyżej guzik na gumce. Takich rozgałęzień było kilka na jego postronku obciążonym gdzieś pośrodku śrubą.

— Co, wieloryby będziesz łapał?

— Możliwe, niech tylko podpłyną i połkną przynętę...

— Człowieku, ale haczyka nie masz!

— Czy jesteś żonaty?

— Tak. Ale, co to ma do rzeczy?

— Nie wiem, kto kogo złapał, czy ty żonę, czy żona ciebie. Ale bez haczyka, choć na jakąś przynętę. Ja też tak ryby łowię.

Wiatr wiał teraz od strony lądu. Przynosił ze sobą pył pustyni, delikatną warstewką osiadający na naszych twarzach, rękach, nie mówiąc o ubraniach.

Woda wyglądała na martwą. Nic nie brało. Sasza snuł jednak opowieści o bogactwach rybnych Aralu.

— Usacz, człowieku, to jest ryba. Metr długości, dwadzieścia kilo wagi. Nie największa, ale piękna. Ma we zwyczaju wychodzić na tarło do rzek: Syr-Darii i Amu-Darii. Część samców jest karłowata. One zawsze zostają w rzece. Czekają na samice, kiedy po dwu lub trzech latach z powrotem wrócą.

Zastanawiałem się, co to za ryba ten usacz. Olśniło mnie nagle: przecież to rosyjska nazwa brzany. Żyje ona w wodach słonawych, stąd występuje zarówno w Morzu Kaspijskim, jak też Morzu Aralskim. Kto wie, czy te ryby nie pływały kiedyś w jednym wspólnym zbiorniku wodnym, gdyż jak przypuszczają uczeni, oba te morza były połączone. Stąd też mają do siebie bardzo zbliżoną ichtiofaunę.

Spławik zaczął drgać. Pośpiesznie zaciąłem, żeby ryba nie utrąciła ledwie trzymającej się przynęty. Opór. Jest. Powoli holuję zdobycz do brzegu. Srebrne błyski w wodzie. Wyciągam dużą płoć: w Polsce tej wielkości okazy są rzadkością.

— Wobla! — wykrzykuje Sasza.

Ileż razy spotykałem się z tą nazwą w literaturze rosyjskiej, szczególnie w utworach, których akcja rozgrywa się nad Morzem Kaspijskim. Rybacy ciągle łowili wobłę, a ja nie wiedziałem, że to płoć.

Sasza znał się nie tylko na samochodach, ale i na rybach. Tłumaczył, jak ichtiolog:

— Aralska wobla lepsza od kaspijskiej. Obie jadłem, wiem. Ma duży zbyt na rynku. Ale wobla pójdzie w cień, inne, cenniejsze gatunki...

Ledwie zdążyłem zarzucić wędkę, już zaczęło coś brać. Ale inaczej: spokojnie, delikatnie, powoli. Pozwoliłem rybie smakować przynętę.

Swój swojego zawsze pozna. To był karaś. Srebrny!

Sasza, jak na wytrawnego wędkarza przystało, zamilkł, kiedy ryba brała. Teraz, gdy miałem już dwie sztuki, kończył przerwane zdanie:

— Tak, wobla pójdzie w cień, bo w jeziorze zaaklimatyzowały się już siewriuga i szip, sprowadzone z Morza Kaspijskiego. Wyobrażasz sobie, że rosną ponad dwa metry długie, a ważą blisko siedemdziesiąt kilo. To ryby z gatunku jesiotrowatych.

Widziałem takie olbrzymy i smakowałem ich ikrę. To było w Azowie, nad rybnym Morzem Azowskim.

— Przyjął się także w Aralu śledzik bałtycki — kończył Sasza, a ja ciągnąłem drugą, blisko trzydzieści centymetrów długą wobłę.

— Sasza, ty lepiej załóż haczyk. Na wędkę nikt inaczej ryb do tej pory nie łapie.

Nie dał się przekonać i uparcie trwał przy swoim. Rosłem w dumę, jak każdy wędkarz, któremu się szczęści.

— Słuchaj, co cię tu przygnało?

— Jak to, jeżdżę z kartografami. Gdzie oni, tam ja. Zaraz podrzucę cię do Aralska i pojadę po nich do bazy.

Znów mi coś brało, ale ryba zjadła przynętę nim zdołałem zaciąć. Chyba do trzech razy sztuka, pewnie już więcej nic nie złowię — pomyślałem.

— Sasza, kto nie ma szczęścia w grze w karty, na polowaniu czy na rybach, ten ma szczęście w miłości. Ty na pewno go masz...

Zerwał się jak oparzony i pobiegł ku swojej wędce. Ja za nim. Postronkiem coś szarpało z dużą siłą i to w różne strony.

— Chwytaj je rękami przy brzegu! — wykrzyknął podniecony.

Powoli ściągnął linkę przymocowaną do niewielkiego kawałka saksaułu. Woda aż bulgotała od ruchu ryb. Spoglądałem, jak oniemiały. Na powierzchni wyłoniły się trzy wielkie sazany. Sasza poderwał je lekko ku górze, aby się zachłysnęły powietrzem i nie stawiały większego oporu.

Ryby były już przy brzegu. Stałem, jak ogłupiały. Sasza nie mógł wyrzucić ich na ląd, bo ciągnęły sznurki w różne strony. Darł się na mnie, ale nim przyszedłem mu z pomocą, jeden sazan zdołał się odczepić. Dwa wielkie okazy, rzucały się na lądzie. Poczułem smak porażki. Moja zdobycz, w porównaniu z jego, to była rybia nędza.

Wciąż nie mogłem zrozumieć, jak bez haczyka można złapać rybę.

— Widzisz ten guzik na gumce? On cały czas sazana trącał po nosie, kiedy żerował próbując makuchu. Zdenerwowana ryba postanowiła załatwić intruza połykając go. Ale przecież jej nie mógł smakować, więc go wypluła, jak zwykle, przez skrzela. Widzisz?

Guzik był na zewnątrz skrzeli obu sazanów ważących co najmniej po dwa kilo.

Dokończenie na str. 10

Problemy bibliotek

Dokończenie ze str. 3

rzyć 2 do 4 bibliotek rejonowych. Organizacja tych placówek wymaga dodatkowego etatu lub ryczałtu, a w niektórych wypadkach poprawy warunków lokalowych. Inny problem, który należy sukcesywnie rozwiązywać, to zwiększenie liczby etatów, głównie w bibliotekach gromadzkich. Należy także widzieć potrzebę większego zróżnicowania wysokości ryczałtów w zależności od potrzeb środowiska i wkładu pracy bibliotekarza.

Rozwój punktów bibliotecznych jest jeszcze ciągle niedostateczny. Potrzeby w tym zakresie są bardzo duże zwłaszcza na wsi, gdyż istnieje ponad 1000 sołectw, w których nie ma takich punktów. Dalszy rozwój sieci punktów bibliotecznych zależy w dużym stopniu od zabezpieczenia kredytów na nagrody dla ich kierowników. Ponad 87 proc. bibliotek publicznych na Lubelszczyźnie nie posiada czytelń, co stawia nas na ostatnim miejscu w kraju, a i rozmieszczenie tych skromnych zasobów jest bardzo nierównomierne (Bełżyce: 58 proc., Janów: 5,8 proc., Radzyń: 6,4 proc.!).

Zmiany w sytuacji lokalowej bibliotek przebiegają zbyt powolnie. 83 proc. placówek na wsi zajmuje pomieszczenia za małe (do 30 m kwadr.) w stosunku do ich potrzeb. Z poważnymi trudnościami lokalowymi borykają się także biblioteki powiatowe: w Opolu, Tomaszowie, Lublinie, Lubartowie, Biłgoraju, Janowie i Łukowie. Kłopoty lokalowe należałoby rozwiązywać tylko poprzez sukcesywne wprowadzanie do planów gospodarczych budowy bibliotek lub adaptacji nadających się do tego lokali. Powinno się też doprowadzić do tego, żeby w ciągu roku przynajmniej jedna biblioteka w powiecie otrzymała nowe pomieszczenia w domach kultury i innych obiektach publicznych.

Oddzielnego omówienia wymagają trudności lokalowe Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej i jej filii. Biblioteka im. H. Łopacińskiego, która stanowi najwyższy szczebel w sieci bibliotek powszechnych województwa jako ośrodek regionalny, gromadzący dorobek piśmienniczy swego regionu, i jako placówka naukowa, gromadząca księgozbiór naukowy, natrafia obecnie na poważne trudności w spełnianiu wymienionych funkcji. W magazynie, obliczonym na 100 000 tomów, znajduje się aktualnie 150 tysięcy woluminów. Niewłaściwe przechowywanie księgozbiorów (ciasnota) doprowadziło do tego, że znaczna część rekwizytów wymaga natychmiastowych zabiegów konserwatorskich. Toteż w najbliższym czasie nie tylko należy przystąpić do rozbudowy magazynu i zabezpieczenia miejsca na co najmniej dalszych 400 000 woluminów, lecz konieczna jest budowa komory dezynfekcyjnej oraz rozbudowa i unowocześnienie introligatorni, zorganizowanie pracowni naukowych.

Rozmieszczenie filii w mieście nie budzi zastrzeżeń poza tym jednym, że jest ich za mało. Istnieją rejony zupełnie pozbawione placówek bibliotecznych: Wrotków, Sławinek, Dziesiąta, Rury, Ponigwoda. Powierzchnia użytkowana przez sieć miejską stanowi zaledwie 40 proc. tej, jaka według minimalnej normy powinna przypadać na placówki biblioteczne przy obecnej liczbie woluminów i obsługiwanych czytelników.

Dla poprawy wyposażenia bibliotek należałoby, poza uzupełnieniem sprzętu w pozostałych placówkach, wyposażyć przynajmniej jedną placówkę w powiecie w nowy, funkcjonalny sprzęt. Także konieczne wydaje się pomnażanie zasobów sprzętu audiowizualnego i biurowego (powielacze, czytniki, maszyny do pisania, magnetofony, projektory, adaptery itp).

Książka to narzędzie pracy bibliotekarza, stąd więc wynika potrzeba właściwego kształtowania księgozbiorów tak od strony ilości jak i jakości. Sumy przeznaczone na zakup księgozbioru są ciągle niewystarczające. Należałoby wprowadzić zasadę, że minimum kredytów preliminowanych na książki stanowi 2,5 zł na mieszkańca. Obok tego należy szukać rezerw z innych źródeł. Akcja tysiąca książek na Tysiąclecie wykazała, że istnieją takie możliwości.

Sprawą wciąż połowicznie rozwiązywaną jest właściwa dla bibliotek oświatowych ciągła selekcja księgozbiorów. Powiatowe rady narodowe mogłyby powołać komisje (bądź konsultantów), które wspólnie z bibliotekarzami zajęłyby się realizacją tego ogromnie trudnego zadania. Konieczne staje się stworzenie wojewódzkiej centrali druków zbędnych. Już w tej chwili liczba wycofanych woluminów wynosi około 500 000. Na składnicę tego typu można by przeznaczyć pomieszczenie przy ulicy Podwale, po opuszczeniu go przez Bibliotekę UMCS, bądź odremontowany i zaadaptowany do tego celu jeden z zabytkowych obiektów w pobliżu Lublina.

Pozytywną ocenę pracy bibliotek publicznych naszego województwa dało Plenum KW PZPR w dniu 9 lutego 1968 r., zobowiązując jednocześnie instancje partyjne i administracyjne do udzielania pomocy na rzecz dalszego rozwoju ich działalności. Rezultaty pracy bibliotek to w poważnej mierze zasługa ponad 750 bibliotekarzy, którzy w codziennej, żmudnej pracy decydują o treści i formach rozwijającej się działalności kulturalnej. Ich kwalifikacje ogólne i zawodowe, walory osobiste i ideowo-polityczne walnie przyczyniają się do wzrostu autorytetu i rangi społecznej w środowisku. Wydaje się słuszne, aby instancje partyjne, a zwłaszcza komitety gromadzkie PZPR, widziały w nich poważny aktyw w szerokiej działalności ideowo-wychowawczej prowadzonej przez partię.

Tadeusz Jeziorski

Problemy nauki

Dokończenie ze str. 3

konieczności współpracy i kontaktów naukowych z różnymi placówkami krajowymi i zagranicznymi istnieje potrzeba harmonijnego rozwijania wszystkich zadań zakładów uniwersyteckich, bez mechanicznego uzależniania liczby etatów jedynie od liczby godzin dydaktycznych. Mimo tak poważnego i kosztownego rozwoju placówek Polskiej Akademii Nauk, uniwersytety nadal prowadzą bowiem poważną część prac badawczych, łącząc swe zadania naukowe z dydaktycznymi i wychowawczymi.

Słusznie mówią Tezy o konieczności polepszenia wymiany informacji naukowo-technicznej, tak krajowej jak i zagranicznej, co oczywiście związane jest zarówno z powiększeniem nakładów materialnych jak i liczby etatów. Problem ten posiada całkiem kluczowe znaczenie i należy do podstawowych warunków rozwoju nowoczesnych placówek naukowych. Wobec niesłychanie szybkiego przyrostu produkcji naukowej na całym świecie, powodzenie prowadzonych badań w wielkim stopniu zależy dzisiaj od szybkiej i łatwo dostępnej informacji naukowej, aktualnej i pełnej orientacji w interesującej badacza problematyce nauki światowej. Trudności i zahamowania w tym względzie (np. skreślanie uniwersytetom różnych czasopism zagranicznych) mogą prowadzić do niepowetowanych strat i opóźnień.

Wymiana informacji naukowej to nie tylko konieczność stałego dostępu do literatury fachowej z całego świata, ale również kontakty bezpośrednie z placówkami i uczonymi, a więc sprawa stypendiów i wyjazdów zagranicznych, oczywiście po wyczerpaniu tych wszystkich możliwości, które dają warunki krajowe (zdarzają się bowiem wyjazdy przedwczesne i słabo merytorycznie uzasadnione). Poruszony problem prowadzi nas znowu do sprawy nakładów, bowiem jest to zagadnienie pokrycia dewizowego na wyjazdy zagraniczne i wydawnictwa obce, przeważnie kosztowne, ale przecież nieodzowne

Poruszone wyżej zestawienie prowadzi do dalszego zagadnienia, związanego ze sprawą wymiany informacji naukowej i jak najlepiej pojętej propagandy naszej kultury i osiągnięć naukowych. Jest to problem szerokich kontaktów naukowych, zarówno osobistych (konferencje, kongresy, zjazdy, sesje, wyjazdy z wykładami itp.), jak i poprzez nasze publikacje w językach obcych, wprowadzające nasze osiągnięcia do nauki światowej. Sprawa powyższa ma również aspekt polityczny. Nie zawsze potrafimy w porę i w odpowiednio skuteczny sposób, właśnie poprzez celne, wartościowe i porządnie wydane publikacje w obcych językach, odpowiedzieć na uwłaczające Polsce wydawnictwa, pochodzące z wrogich nam ośrodków politycznych i pseudohaukowych na Zachodzie. Przykładowo można tu przypomnieć, że nie zawsze potrafiliśmy w przeszłości zrównoważyć i odeprzeć własnymi publikacjami, dostępnymi dla czytelników w Europie zachodniej, różne kłamliwe i tendencyjne poglądy i opinie o naszych dziejach, lansowane przez rewizjonistycznych historyków niemieckich. Wyjeżdżający na Zachód nasi stypendyści dobrze wiedzą, ile cierpliwości i wysiłku wymaga nieraz tłumaczenie nawet przychylnie do nas nastawionym Anglikom czy Szwajcarom dosyć elementarnych prawd o naszej historii i kulturze. W tej sytuacji należy z radością powitać wydaną u nas ostatnio w języku angielskim, starannie opracowaną przez naszych wybitnych specjalistów (A. Gieysztor, J. Tazbir, E. Roztworowski, S. Kieniewicz, H. Wereszycki) dosyć obszerną „History of Poland" (Warszawa 1968, ss. 783), pierwsze nasze tego typu opracowanie od bardzo dawna. Wydawnictw takich mamy jednak stanowczo za mało i pamiętam swoje własne rozczarowanie, gdy przez kilkoma laty na próżno poszukiwałem w polskich placówkach londyńskich dla mych angielskich kolegów książeczek informujących w języku angielskim o Polsce, jej dziejach i kulturze.

Warto tu wspomnieć o jeszcze jednej znakomitej, lecz nie zawsze przez nas wykorzystywanej formie dobrze pojętej propagandy naszej nauki, a zarazem i wymiany informacji. Myślę o wyjazdach naszych uczonych do uczelni zagranicznych z wykładami (tzw. Visiting Professors). Tego rodzaju forma wyjazdu stwarza najpełniejsze możliwości, zwłaszcza w zakresie historii czy filologii polskiej, właściwej prezentacji naszego dorobku i międzynarodowych kontaktów. Stwarza ona też znakomitą możliwość tak przez Tezy podkreślanego doskonalenia kadr.

Powyższe uwagi, napisane na marginesie lektury Tez na V Zjazd Partii, poruszają, oczywiście, niektóre tylko aspekty zagadnienia warunków rozwoju nauki w nowoczesnym świecie. Innymi elementami są m. in. szeroko dyskutowane sprawy modernizacji programów uniwersyteckich, przeładowanych materiałem i faktami nie zawsze niezbędnymi do opanowania danej dyscypliny, a nadmiarem niepotrzebnego czasem balastu uniemożliwiające nauczenie studentów metody i myślenia naukowego. Dalszym istotnym elementem jest potrzeba nowoczesnej organizacji katedr i zakładów w ramach instytutów oraz tworzenia luźniejszych i bardziej elastycznych zespołów badawczych, co w sumie może doprowadzić do wspomnianej przez Tezy większej integracji kadry naukowej i środków materialnych. Idzie jednak o to, by zmiany te wprowadzać stopniowo i rozważnie.

Henryk Zins

Wyciągnięte łapiny

Szymon Kobyliński

JEST gdzieś w „Krzyżakach" Sienkiewicza mowa — ustami bodaj Zbyszka z Bogdańca, jeśli pomnę dobrze — o dawnych bóstwach żmudzkich, które przyjęcie przez Litwę chrztu miało wygnać hen, w głąb ostępów i, jak powiadał narrator, czasem jeno zza drzew kosmate łapiny wyciągają ku podróżnym i proszą a proszą o datek!... Ilekroć przeglądam w ZAIKSie papierki, tyczące moich honorariów plastycznych, dostrzegam od razu całkiem podobne do tamtych, puszczańskich, ale jednak miejskie i współczesne dłonie proszalne: daj trzy procent na bidnych kolegów! daj dwa procent na pechowych artystów! Daj co łaska, daj...

Daję, bo cóż mam robić; doszło do tego, iż plastycy, mający widocznie tak dużo czasu poza pracownią, że przeznaczyli owe godziny i dni na wydeptywanie ministerialnych dywanów — uzyskali odpowiednie rozporządzenie finansowe, by każdy grosz przez innych artystów zarobiony szedł przez ręce tych zapobiegliwych i aby zostawiał osad w kasach Związku. Jeśli zatem dochrapałem się tego, co zwą ludzie „nazwiskiem", jeżeli więc włożyłem niemało pracy i potu, aby móc mieć stałe zamówienia i spokojne spojrzenie w przyszłość, — wówczas muszę tym więcej odpalać obcym facetom, im więcej się akurat napracowałem.

Nie protestuję przeciw podatkom normalnym, państwowym, które — rzecz jasna — muszą rosnąć, gdy rośnie mój własny majątek, jest to bowiem sprawiedliwe, że zasobny obywatel powinien suciej łożyć na drogi, po których (np. własnym autem) jeździ, na mosty, obronność, teatry itd. Ostatecznie widzę własnymi oczami, co za „moje" złotówki powstaje, toteż bulę bez szemrania, dokładając swoją cegiełkę gdzie należy. Ale tamtym łapinom? Ludzie, za co?

Znam, znam gromadki ludzi, którzy czerpią z dotacji Związku, wyżebrują na farby, pędzle, płótna, czy zupkę jarzynową, że pominę wiecznych stypendystów zagranicznych, co to potrafią wziąć zapomogę, by spłacić składki za kilka lat wstecz, a potem brylować w komisjach itp. Nie o takich bonzach i cwaniakach myślę, ale o rzeczywiście biednych, którzy obnosili swoje łachmany i wychudłe lica już za czasów akademickich, skamląc w Bratniaku o poniżające jałmużny.

Nie było rozbudowanych stypendiów, kiedym studiował, a choć profesorowie niechętnym okiem spoglądali na sprzedawanie umiejętności plastycznych przez słuchaczy ASP, udawali w końcu, że tego w ogóle nie widzą, no bo trzeba z czegoś żyć.

Należałem do grupy siedmiu drabów-grafików, z których ledwie jeden (a i to bardzo późno, tudzież w tajemnicy przed resztą) brał nikłe stypedium. Było to tuż po wojnie i nawet bogatym ludziom żyło się naówczas tak, jak dziś bytują słabiutko uposażeni, cóż zatem mówić o łakowskim budżecie! Harowaliśmy tedy cała siódemką potężnie, murzynowaliśmy (haniebnie nacinani przez starych lisów środowiskowych) na wystawach, za kąt pracowniany wykonywaliśmy serie plakatów i dekoracji na mieście, zaciskaliśmy pasa i zęby — aż człek dobrnął do lat tłustszych i odsapnął, srodze uznojony. A tymczasem ci sami (mógłbym wymieniać z nazwisk, oczywiście z nazwisk znanych kasie zapomogowej, nie odbiorcom sztuki) w demonstracyjnych łachmanach, rzeczywiście głodni i nadżerani gruźlicą, snuli się po korytarzach, potrząsając łapinami „daj, daj grosik". Z biegiem lat, kiedy nasza siódemka przeniosła się z wyrobniczych zakamarków do własnych pracowni, za biurka wydawnicze, na katedry uczelniane i do almanachów sztuki polskiej, czyli do świadomości społecznej, — tamci zawodowi nędzarze przenieśli się do przedpokojów Ministerstwa Kultury, oraz do kuluarów Związku, gdzie biadola po dawnemu, bardziej jeno łysi, posiwiali i łaźni.

Takich skamlących zna każdy związek twórczy i chyba każda organizacja społeczna; nie stanowią oni wprawdzie klęski narodowej, ale psują krew, złoszczą swoją rolą utrzymanków z a n i c, prowokują do podkładania pod nazwę Funduszu Pomocy Doraźnej (FPD) słów Frajerzy Płacą Darmozjadom.

Płacę twardo i ja, płaci pozostałych z mej grupy sześciu, płaci mnóstwo innych. Kiedy oddaję część zarobków dla ZAIKSu, wiem, iż ta instytucja w zamian zadba o mnie, wyśledzi przedruki w kraju czy za granicą, wspomoże fiskalną radą, poratuje w przejściowej depresji pieniężnej, słowem daję za coś. Gdy biorę udział w składce na rzecz czegoś wzniosłego i ważkiego społecznie, rozumiem wartość celu, który wprawdzie nie przysporzy mi gotówki, ale da satysfakcję wyższego rzędu. Zawsze gotów jestem — a imię moje Legion — służyć wynikami własnej pracy wszelkim zjawiskom pozytywnym, zarówno w krajowej, jak osobistej skali.

Jednakże wymuszanie ze mnie siłą jałmużny — choć to ewangeliczna cnota, lecz także istotna wtedy, kiedy jest dobrowolna — musi budzić żywy protest. Gdybym ja sam (myślę sobie nie raz) nie nadawał się do zawodu, jaki wykonuję, popadłbym w nędzę, bo nikt nie chciałby kupować ode mnie spartolonej roboty, jak dziurawych butów od kiepskiego szewca; skoro zatem — dumam dalej — od lat uparcie pies z kulawą nogą nie interesuje się wytworami omawianej gromady łazików, co widać właśnie po ich kieszeniach, to najwidoczniej są złymi szewcami, pardon, kiepskimi plastykami, minęli się z powołaniem.

— A nie dałbyś paru groszy?

Rys. autora

Zapewne, są tacy, którzy tylko sprytem i klikowością zapewniają sobie pozycję, czort z nimi, bądź co bądź latają niedomogi warsztatu usilną pracą strategiczną, — ale jest to w końcu jakaś praca, jakiś wysiłek, zapobiegliwość, obrotność (acz nie najlepszego autoramentu).

Właściciele wyciągniętych łapin nie silą się nawet na tyle, wolą od lat — i z widokami na dalsze sezony — antyszambrować, poniżać się, przymilać do możnych, wieszać u klamki Związków, jak ongiś czynili szaraczkowie przy pańskich dworach. Nie jesteśmy jednak magnackim dworem, należymy do społeczeństwa, gdzie każdy ma swój odcinek wyraźnej pracy: ten muruje, ów strzeże granic, inny ludziom w głowach rozjaśnia piórem, tamten umila życie śpiewem, jego brat organizuje pracę. I miejsce plastyki, nawet tej pozornie całkiem prywatnej, że nie podkreślę użytkowej, jest tu istotne, potrzebne, pożyteczne.

Dlatego pozwoliłem sobie powybrzydzać na darmozjadów we własnej dziedzinie pracy. Nie litujmy się nad nimi, a warto takich pokazać palcem już na początku kariery, w murach uczelni, rozpoznając po wyciągniętych, potrząsanych proszalnie, łapinach!

NAD ARALEM

Dokończenie ze str. 9

— Tego sposobu łowienia nauczył mnie jeden kolega z domu dziecka w Grodnie. On tak łapał sazany w Donie, gdzie ich pełno. Nie wierzyłem mu, ale spróbowałem, wszystko się zgadzało. Zresztą, masz dowód!

Zwinęliśmy nasze wędki. Sasza z triumfem, ja z poczuciem porażki, zawsze towarzyszącej wędkarzowi, któremu szczęście mniej dopisało.

Nie powinno się wnikać w tajniki cudzego serca. Przypomiałem jednak Saszy o serwetce. Wydało mi się, że jechał mniej po kawalersku. Był zamyślony, dłuższy czas milczał.

Czarnowłosy, szczupły, o zgrabnej, wysportowanej sylwetce. Przypominał Gruzina. Powiedziałem mu o tym.

— Czy to ma znaczenie? Przez pewien czas i mnie to interesowało. Może dlatego starałem się usilnie ustalić moje właściwe nazwisko, bo w pamięci tkwił mi zgrzyt, czy syczenie jakichś dziwnych dźwięków. Wychowawcy w domu dziecka mówili, że moje faktyczne nazwisko musiało być inne. Ale machnąłem w końcu na to ręką. Czy to ja jeden taki jestem... Ty miałeś dom, rodziców. Ja tego zupełnie nie pamiętam. Może dlatego miejsca nigdzie nie mogę zagrzać. Coś mnie pędzi, gna. Patrzę czasem w lusterko i myślę: czy przypadkiem Cyganem nie jestem? Popatrz na moją twarz, włosy, zęby. Zwróć uwagę na ruchy: inne. W domu dziecka mi mówili: tobie tylko konie kraść. Zapamiętałem te słowa. W nich coś musi być.

Wiatr dmuchał piaskiem od pustyni. Zgrzytało w zębach, byliśmy zakurzeni.

— Czy jadłeś kazalińskie melony? — zapytał bez związku. Później długo tłumaczył, że w całej Rosji nie ma im równych pod względem smaku i aromatu.

— Kazalińskich nie próbowałem, ale jadłem czardżujskie. Twierdzę, że nie ma lepszych. Sława ich trwa już wieki.

— Nie zgodzę się z tobą. Posłuchaj... Spotkałem kiedyś dziewczynę. Wpadła mi od razu w oko. Blondynka. Piwne oczy. Maleńka, zgrabniutka. Geolog. Poznaliśmy się w Kyzył Ordzie. To były jej pierwsze dni pobytu i już miała wyjeżdżać na badania terenowe. Myślę sobie, jaką jej przyjemność zrobić? Zastanawiałem się długo, ale w końcu dobrze wybrałem. Zgaduj? Proste. Przywiozłem jej na drogę dziesięć wielkich kazalińskich melonów. Ty wiesz, jakie listy mi pisała? W każdym było o melonach, że lepsze od tych, jakie jadła w Czardżou, a mieszkała tam dłuższy czas.

Widzę, że Sasza głowę stracił dla dziewczyny, ale czemu się z nim nie podroczyć?

— Mnie się wydaje, że ona nie melona miała na myśli, ale ciebie.

— Ty, nie żartuj. Ja Kyzył-ordyńską obłast' znam, jak swój gazik. Dasz tej ziemi wodę, to kij zakwitnie. A Syr-Daria w wodę bogata. Czy widziałeś, jak tu ryż rośnie? Oglądałeś trawy pastewne? A widziałeś pracę Koreańczyków? Mówię ci, nikt im nie dorównuje w uprawach. Teraz wierzysz, że melony kazalińskie, to lepszy deser niż te, co rosną na polach koło Czardżou?

— Tak naprawdę, to mogłaby przekonać mnie o tym ta twoja dziewczyna. Tobie, co innego pisała, mnie, co innego powie.

— Nieprawda. Chciała wyjść za mąż.

— I co?

— A ty byś się żenił? Ja szofer, ona inżynier. Co wspólnego mielibyśmy w życiu?

Nie wiedziałem, jak prowadzić dalej rozmowę. Sytuacja wydała mi się kłopotliwa, jakieś banały cisnęły się na język. Milczałem.

— Kiedy lecisz do Gurjewa? — zagadnął Sasza, gdy dojeżdżaliśmy już do Aralska.

— Jeśli zdążę i wszystko ułoży się jak planowałem — jeszcze dzisiaj.

Przystanął koło przetwórni ryb. Wysiadł z samochodu i poszedł na jej teren. Po kilku minutach wrócił ze starą lubianką wypełnioną w połowie lodem z trocinami. Całość przykrywał celofan, żeby woda nie ciekła.

— Nie odmówisz przysługi koledze? Zawieziesz ryby Emmie? Adres ci podam.

— Czemu nie. Zgoda.

Wkładał sazany w lubiankę. Z każdej strony umieścił kawałki lodu przysypane warstwą trocin.

— A na drogę masz resztę smażonego sazana — to mówiąc włożył dzwonka w drugi kawałek celofanu.

— Weź przynajmniej moje ryby — powiedziałem.

Wzbraniał się przez moment, ale w końcu ustąpił. Już kiedy zdążyliśmy się wyściskać na pożegnanie, przypomniał:

— Powtórz Emmie, że sazany, to rewanż za serwetkę.

Romuald Karaś

Kamena str. 10

Listy do KAMENY

W ZWIĄZKU Z RECENZJĄ Z. MAŃKOWSKIEGO

W związku z recenzją Zygmunta Mańkowskiego o książce „Lubelska prasa konspiracyjna" (nr 16) otrzymaliśmy list od autora tej książki. Zamieszczamy go niżej, po wyłączeniu sformułowań, które wykraczają poza spór merytoryczny na marginesie recenzji. (red)

CIESZĘ się bardzo, że „Lubelska prasa konspiracyjna" wzbudziła żywe zainteresowanie. Ostatnio także „Kamena" opublikowała recenzję adiunkta UMCS, Zygmunta Mańkowskiego. Cieszę się, że jestem obiektem ataku ze strony uczestnika kilku spółek autorskich.

Muszę przyznać, że rzeczywiście są drobne usterki w pracy, ale która z książek historycznych ich nie ma? Pomyłki dostrzegłem nie tylko ja, ale również redaktor książki. Zrezygnowaliśmy jednak nawet z erraty, gdyż podanie nazwisk Erlicha czy Cybuli z błędem lub kilku innych nieścisłości nie wprowadza bynajmniej mentliku do stanu badań; usterki mają jedynie znaczenie jednostkowe i marginesowe.

W recenzji Mańkowskiego znać tucie pióro publicysty, trochę jednak mniej ścisłości, która powinna cechować rzetelne wypowiedzi naukowe. Wydaje się, że ogólnikowe cyfry lub sformułowania w stwierdzeniach historyka brzmią nieco dziwnie. Pomijam całą stronę metodologiczną recenzji Mańkowskiego. Już wielcy mistrzowie pióra stwierdzili, iż napisanie dobrej recenzji jest zbyt wielką i zarazem rzadką sztuką. Ad calendas graecas odkładam analizę pobudek, jakimi Mańkowski kierował się biorąc pióro do ręki. Nie mam zamiaru wykraczać poza ramy przyjętej konwencji pisarskiej, od której recenzent odszedł. Niepokój budzi we mnie zasadnicza sprawa — fałszowanie i zniekształcanie tak bliskich nam wszystkim wydarzeń. A że taka sytuacja zaistniała, dowodzą tego fakty.

Zacznijmy od ogólnych refleksji recenzenta, w których stwierdza on, iż „w okresie okupacji na Ziemi Lubelskiej ukazało się co najmniej 160 tytułów różnych pism od dzienników do jednodniówek włącznie." Nie zauważa jednak, iż w moim tomie jest ich razem aż 173, a więc blisko drugie tyle. Zastanawiające jest, dlaczego recenzent tak bardzo obniżył dorobek ruchu konspiracyjnego? Sprawa wyjaśnia się jeszcze w tej samej recenzji: w ostatnim akapicie doszedł on do wniosku, iż odnośnie jednodniówek rzeczywiste wydawnicy szedł w setki tytułów. Tak dalekiego od ścisłości twierdzenia nie udowadnia, a przechodzi do następnej sprawy. Zastakował — według własnego mniemania — pociskiem największego kalibru: jakoby autor pominął mnóstwo ważnych pism konspiracyjnych. Nie przypuszczał jednak, że będzie to niewypał, że w czasie, kiedy ukazywały się w Nałęczowie „Codzienne Wiadomości", na Lubelszczyźnie nie było hitlerowskiego okupanta, a utrwalała się władza ludowa.

Wiąże się to zresztą z następną sprawą. Na jakich źródłach opiera swój warsztat naukowy recenzent, skoro pisma redakcyjnego podziemia zalicza do okresu walk organizacji narodowowyzwoleńczych? Dlaczego dociekliwość krytyka przed postawieniem publicznego zarzutu autorowi książki nie doprowadziła Mańkowskiego do archiwum? Recenzent, powołując się na źródła, opiera się o katalog zasobów archiwalnych i przyjmuje identyczne błędy. Nie trzeba już tego faktu komentować.

Na skutek braku sumienności w dochodzeniu do prawdy Mańkowski podnosi w recenzji niewątpliwie jedną z najniebezpieczniejszych swych tez, dotyczącą bilansu strat w latach wojny i okupacji. Stwierdza, iż dane do strat „znajdują się w archiwach warszawskich, a w dodatku opublikował je w drugim numerze „Zeszytów Majdanka" Czesław Madajczyk". Nie zwrócił uwagi na jeden drobny szczegół. Otóż kiedy „Zeszyty Majdanka" kształtowały swą treść w maszynopisie i w październiku 1966 trafiły do drukarni, to „Lubelska prasa konspiracyjna" już dawno posiadała szpalty, dokonane były korekty i czekała na kolejną obróbkę w drukarni (świadczą o tym metryczki w obu książkach). Jak zatem autor mógł cytować nie istniejący wówczas zeszyt? Nie rozumiem jednak znacznie poważniejszej sprawy: dlaczego Mańkowski dla poparcia swej błędnej tezy powołuje się na prof. Czesława Madajczyka, który nie rozstrzyga tego problemu i posługuje się również, wobec braku źródeł archiwalnych, jedynie danymi Głównego Urzędu Statystycznego. Profesor w końcowym wniosku wyraźnie stwierdza wręcz co innego niż Mańkowski, a mianowicie pisze: „konieczne staje się dokonanie naukowej weryfikacji ustaleń powojennych".

Dalsze pytanie: dlaczego recenzent wypaczył moją myśl ogłoszoną we wstępie do książki? Nie mam zamiaru cytować, przypomnę tylko, iż na str. 12 zajmuję się stratami osobowymi na naszej Ziemi Lubelskiej, a nie — jak chce Mańkowski — tylko poległymi mieszkańcami Lubelszczyzny. Na jakiej zatem podstawie Mańkowski kwestionuje fakt, iż Lubelszczyzna pochłonęła najwięcej ofiar, jeśli woj. lubelskie rzeczywiście kryje w sobie prochy tak wielu zamordowanych, w części było doświadczalnym obszarem wysiedleńczym i dymiły na nim liczne kominy krematoriów hitlerowskich? Nie powinien Mańkowski zapominać o Majdanku, Bełżcu, Sobiborze.

Inną równie niebezpieczną kwestią jest eksponowanie przez recenzenta spraw akowskich, mimo iż są problemy od nich znacznie ważniejsze. Recenzent zarzuca mi, iż na skutek wadliwego przeliczenia mylnie podałem stan AK na 1 marca 1944 r. Przeprowadza jednocześnie rachunek szacunkowy, w wyniku którego dochodzi tylko do 40 tys., a stan 70 tys. przesuwa na końcowy okres okupacji, zatem być może na kwiecień, maj, czerwiec (doskonały przykład typowej scholastyki). Ponadto z treści recenzji Mańkowskiego wynika, że Armia Krajowa to tylko plutony szkieletowe i pełne, nie zauważa on szerokiej siatki organizacyjnej. Uważa błędnie, że AK zwiększało swe szeregi pod koniec okupacji, podczas gdy nawet wydanie londyńskie „Polskich Sił Zbrojnych" stwierdza, iż największy stan liczbowy AK istniał w pierwszych miesiącach 1944 r. Później, w wyniku wielkich wydarzeń politycznych, w obliczu ciągłych zwycięstw Armii Czerwonej oraz Armii Polskiej oraz nowej sytuacji w całym ruchu oporu na terenie Polski, rozwój szeregów AK został zahamowany. Potwierdza to Lubelskie, Krakowskie i Kieleckie.

Mańkowski poruszając te problemy odwraca uwagę czytelników od ważkich spraw poruszonych w książce, o których mówią niemal wszystkie inne recenzje. Do takich spraw należą (cytuję fragmenty z „Zielonego Sztandaru"): „Książka ukazuje, na co chyba jeszcze nikt do tej pory nie zwrócił uwagi, że 30 proc. wszystkich wydawanych w owym okresie gazetek ukazywało się na wsi, z reguły wysiłkiem miejscowych działaczy. W części trzeciej książki zamieszcza autor wybór artykułów z konspiracyjnych gazetek. Odzwierciedlają one ogólne tendencje ideowo-polityczne poszczególnych organizacji. Pokazują polemiki międzypartyjne, sposoby informowania swoich czytelników o wydarzeniach międzypartyjnych i krajowych. Prasa PPR wyróżnia się zdecydowanie trafnością oceny aktualnej sytuacji, umiejętnością przewidywania na bliższą i dalszą metę, swoim niezłomnie pozytywnym stosunkiem do ZSRR, przekonaniem, że o losach kraju będzie decydował chłop i robotnik po zwycięstwie nad Niemcami, a nie ugrupowania obozu londyńskiego. Wręcz przeciwne poglądy precyzowała zdecydowanie antykomunistyczna i antyradziecka prasa akowska".

Mańkowskiemu wydaje się, iż źródła zawarte w „Lubelskiej prasie konspiracyjnej" za kilka miesięcy stracą na aktualności. Sądzę, iż właśnie opublikowane źródła zawsze mają pierwszorzędne znaczenie dla badaczy, mogą jedynie być uzupełniane o nowe dokumenty, rozszerzające przedstawiany obraz.

Mańkowski ciągle powołuje się w recenzji na własne referaty. Moim zdaniem nie są to aż tak doskonałe opracowania, za jakie sam je uważa. Np. artykuł zamieszczony w „Ruchu Ludowym na Lubelszczyźnie" roi się od bardzo poważnych błędów (...).

W takiej sytuacji śmieszne wydaje się zdanie sformułowane o sobie samym: „praca nasza (mowa o tomie AK opracowanym przez Cabana i Mańkowskiego) znajduje się w druku i wniesie ona wiele nowych tytułów, ustaleń i faktów".

Jest jeszcze więcej spraw w recenzji, których, być może, tylko ja nie mogę zrozumieć. Co np. znaczy stwierdzenie: „negowanie podawania dokładnych rozmiarów organów prasy zaginionej" lub „czy w tym wypadku można ufać relantom". Dlaczego mamy nie korzystać z pamięci ludzi, by uzupełniać luki w brakującej dokumentacji? Dlaczego Mańkowski pozbawia tych ludzi, bohaterów ówczesnych dni, zdolności i możliwości mówienia prawdy? Nie mogę również pojąć, dlaczego recenzent stwierdza, że oparłem się tylko na relacjach, podczas gdy podstawą opracowania tomu były konspiracyjne gazetki i inne dokumenty? Dlaczego sugeruje autorowi cytowanie akt i zespołów, w których poza pisemkami z lat powojennych nie zachowały się gazetki konspiracyjne lub informacje o prasie (por. zespół Delegatury w AZHP w Warszawie, akta żandarmerii w WAP w Lublinie)? Dlaczego wreszcie zniekształca sens mojej wypowiedzi na temat źródeł akowskich przez dopisanie słowa zupełny? Wyraźnie mówię we wstępie o źródłach prasowych lub dotyczących problematyki wydawniczej, nie zaś organizacyjnych, których mnóstwo ukazało się w „Polskich Siłach Zbrojnych" i sporo znajduje się w archiwach. Dlaczego w podobny sposób zmienia sens wypowiedzi na temat akcji scaleniowej, podczas gdy na str. 22 i w kilku innych miejscach omawiam jak zrywano umowy scaleniowe, przytaczam na ten temat wiele innych źródeł?

Zrezygnowałem z ustosunkowania się do wielu innych wypowiedzi Mańkowskiego. Są one w podobny sposób preparowane. Pragnę natomiast wyrazić serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy przyczynili się do opracowania „Lubelskiej prasy konspiracyjnej", którzy napisali do mnie sporo miłych słów, konkludując je przeważnie prośbą o umożliwienie zakupienia książki (rzeczywiście, książka w ciągu jednego miesiąca zniknęła z półek księgarskich) — są one ważnym czynnikiem mobilizującym do dalszej pracy

Zbigniew Hirsz

ODPOWIEDŹ Z. MAŃKOWSKIEGO

Muszę wyznać, że w ciągu swego wieloletniego obcowania z piśmiennictwem historycznym po raz pierwszy spotykam się z tego rodzaju reakcją na bądź co bądź rzeczową krytykę, jaką prezentuje w swym liście do redakcji Z. Hirsz. Charakteryzuje się ona przede wszystkim brakiem kultury. Najbardziej zaś rażące jest zastąpienie przez niego rzeczowości — insynuacjami i potwarzami. Nie zamierzam się do nich ustosunkowywać. Jest to po prostu niesmaczne i rzuca wystarczające światło na mojego antagonistę.

Chciałbym jednak ustosunkować się do niektórych spraw merytorycznych, gdyż zdaniem moim Hirsz czyni w swym liście dalsze błędy lub pogłębia stare, dezorientując tym samym czytelnika.

Sprawa pierwsza — autor listu pisze, że w jego książce są „aż 173" różne pisma, a nie, jak podałem w recenzji, „sto" i popełnia tu oczywisty błąd zaprzeczając samemu sobie, gdyż na stronie 7 swej pracy pisze wyraźnie, że zdołał ogółem ustalić „194 tytuły pism periodycznych o łącznej sumie 400 numerów" (notabene w tomie metryczek tych jest tylko 183). Natomiast dalsze 69 tytułów to, jak sam pisze, „pisma ulotne i broszury" oraz jednodniówki, przy czym, jak stwierdziłem, autor nie potrafi odróżnić pisma ulotnego od jednodniówki. Przykładem tego jest właśnie choćby zakwalifikowanie ulotki ZAP z 11 listopada 1939 r. jako „organu".

Sprawa druga — Hirsz bezsensownie podszedł do spraw obliczenia strat Lubelszczyzny oraz ofiar straconych na tej ziemi w okresie okupacji, gmatwając tę sprawę w sposób budzący opory. W obozach lubelskich zginęło dziesiątki tysięcy obywateli różnych krajów (np. masowo jeńcy radzieccy, Żydzi z różnych krajów Europy). W samych tylko obozach zginęło około półtora miliona ludzi różnych narodowości. W tym świetle jego twierdzenie, że „na terenie Ziemi Lubelskiej zginęło ponad 25 proc. ogółu poległych i zamordowanych w Polsce" jest niewłaściwe. Hirsz zdaje sobie chyba z tego sprawę, ale pieniactwo, w jakie popadł, każe mu moją uwagę opatrzyć insynuacją, że jest ona (ta uwaga) „najniebezpieczniejsza"! Dla kogo?

Sprawa trzecia — stan liczebny AK. Autor listu wykazuje tu brak elementarnej wiedzy o strukturze wewnętrznej i systemie sprawozdawczości tej organizacji. Plutony AK, jak łatwo to wyczytać choćby w cytowanym przez niego wydawnictwie „Polskie Siły Zbrojne", były „jednostkami przeliczeniowymi", a więc wszyscy członkowie organizacji (i ci „szerokiej siatki organizacyjnej") byli wliczani w plutony szkieletowe lub pełne. Ponadto Hirsz nie rozumie, że stan na dzień 1 marca 1944 r. wcale nie oznacza, iż był z 1 marca 1944 r. System sprawozdawczości idący od szczebla placówki i rejonu do szczebla komendy głównej w warunkach konspiracji przebiegał około dwóch miesięcy. Tak więc stan na 1 marca praktycznie ujmuje stan z 1 stycznia 1944 r. Według przeliczenia zaproponowanego przez wspomniane wydawnictwo PSZ stan okręgu lubelskiego z końca 1943 r. wynosiłby więc po przeliczeniu (pluton szkieletowy 25 ludzi, pełny — 50) 40 375 członków, przy czym PSZ, czego Hirsz nie doczytał, samo wniosło zastrzeżenie, że ogólny stan organizacji w kraju trzeba obniżyć o 30 tys. (a więc o 8 proc.), gdyż plutony nie osiągały w wielu wypadkach nakazanego limitu. Nasze dokładne badania wykazały, że plutony na Lubelszczyźnie przy końcu 1943 r. były przeciętnie niższe o 12 proc. Stąd wyprowadziliśmy oczywisty wniosek, że stan organizacji w okręgu w dniu 1 stycznia 1944 r. wynosił około 35 tys. członków. W dalszych miesiącach, jak to potwierdzają wbrew Hirszowi liczne dokumenty, nastąpił gwałtowny rozwój organizacji (zresztą proces ten dotyczy wszystkich organizacji konspiracyjnych i związany był z „rozluźnieniem się" okupacji oraz zbliżaniem się frontu). AK otrzymała w pierwszych miesiącach 1944 r. dodatkowy zastrzyk kadr w wyniku postępującej mimo wszystko akcji scaleniowej. W związku z tym Armia Krajowa na wiosnę 1944 r. prawie podwoiła swój stan, osiągając w końcowym okresie okupacji liczbę ponad 60 tys. członków.

Sprawa czwarta — Hirsz w dalszym ciągu nie rozumie niewłaściwości dokładnego podawania rozmiarów (formatu) prasy zaginionej. Zwrócili mi zresztą na to uwagę historycy warszawscy, którzy uznali to za klasyczną egzemplifikację tzw. „detologii". Prasa konspiracyjna wydawana była na różnym papierze i w bardzo różnym formacie. Bywało, że poszczególne numery tego samego organu posiadały różne wymiary. Przy rozstrzygnięciu tej sprawy jedynym źródłem dla Hirsza jest w tym wypadku relacja byłego członka redakcji czy kolportera. Ale czy po 25 latach naprawdę zdołali oni zapamiętać dokładnie format pisma? Zamiast zastanowić się nad tym, autor listu z impetem godnym lepszej sprawy posłużył się znowu insynuacją, że pozbawiam „bohaterów ówczesnych dni zdolności (!!!) i możliwości (!!!) mówienia prawdy". Cóż za nonsens! Cóż za demagogia!

Wbrew temu, co pisze również autor listu we wspomnianych w mojej recenzji aktach Delegatury RP na kraj i innych zbiorach archiwalnych jest sporo materiału o lubelskiej prasie konspiracyjnej.

W moim osobistym przekonaniu recenzja, jaką napisałem o pracy Hirsza, ma w dużej mierze charakter ulgowy, ale przede wszystkim poważny, i sądzę, że przy odrobinie wewnętrznej kultury i zdolności do samokrytycyzmu może stać się ona dla niego jednym z punktów wyjścia dla ulepszenia niedoskonałego warsztatu.

Dr Zygmunt Mańkowski

LISTY W „Ż.L." BYŁY FIKCYJNE...

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako wierny od lat czytelnik „Kameny" z satysfakcją znalazłem w jednym z numerów pisma swoje nazwisko wymienione w komunikacie o rozstrzygnięciu konkursu „Życia Literackiego". Z mniejszą już satysfakcją odnalazłem swoje nazwisko w ostatnim numerze „Kameny" w rubryce „noty i notki", gdzie Sz. Redakcja wyrokuje, iż moja praca drukowana w „Życiu Literackim" jest wierną relacją własnych niezwykłych doświadczeń w moim zakładzie pracy, w którym pracuję aktualnie.

Ponieważ taka interpretacja „Pięciu listów" mogłaby przysporzyć mi wielu kłopotów i spowodować szereg nieporozumień, byłbym Panu Redaktorowi niezmiernie wdzięczny za zamieszczenie tego listu, w którym zwięźle postaram się wyjaśnić istotę rzeczy.

Zacznę od warunków konkursu pn. „Człowiek wybiera" ogłoszonego przez „Życie Literackie" i Wydawnictwo Literackie. Otóż konkurs ten zrównywał w prawach wszelkie gatunki prozy — od reportażu, autentycznego pamiętnika, aż po czystą fikcję literacką. Słowem — chodziło nie o formę lecz treść, pokazanie konfliktów współczesności, a na ich tle — człowieka dokonującego wyboru. Osobiście, jak to słusznie zauważył Stefan Otwinowski w jednym z lipcowych numerów „Życia Literackiego", wybrałem formę pośrednią: listy. I tu kolejny, podyktowany wdzięcznością ukłon w stronę „Kameny", która słusznie nazwała moje listy fikcyjnymi.

Z ich fikcyjnego charakteru wynikają jednak dalsze konsekwencje. Pierwsza z nich to fakt, że autor listów, C. K., bohater mojej pracy konkursowej, ma z moją skromną osobą akurat tyle samo wspólnego, co bohater utworu literackiego z jego autorem. Oczywiście, zawsze istnieje w takich przypadkach kwestia granicy pomiędzy tzw. autobiografią, a pozostałymi elementami składającymi się na całość. Ostatecznie przecież ktoś piszący nawet reportaż osobiście nadaje ostateczny kształt przedstawianej rzeczywistości. I na odwrót — autor z pozoru nawet najbardziej fikcyjnego opowiadania czy powieści, czerpie wiele, często wszystko, z tzw. życia. Rzecz polega więc nie na rejestrowaniu lecz przetwarzaniu.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że powyższe zdania są truizmami nawet dla średnio obeznanych ze sprawami literatury, pisarstwa; uwagi te wydają mi się jednak konieczne z tych samych przyczyn, dla których w ogóle zabieram głos (i cenne miejsce) na tych szacownych łamach. Krótko mówiąc, nie chcę mieć już więcej przykrości z powodu swojej pracy (konkursowej).

Czy miałem już takie przykrości? Owszem, choć nikt mi pisemnie nie poświadczył, że druk „Pięciu listów" w „Życiu Literackim" miał wpływ decydujący. Wystarczyły jednak oświadczenia ustne. I fakty. Oto one. Praca moja drukowana była w dwu kolejnych numerach „Życia" z dnia 4 i 11 sierpnia br. W sześć dni później 17 sierpnia br. otrzymałem w dziale kadr lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych dokument treści następującej:

Lublin, dnia 17.08.1968 r.

Ob. Harasimiuk Stanisław

w/m

„Z dniem 17.08.1968 r. przenosi się Obywatela z dotychczas zajmowanego stanowiska (redaktora — przyp. S. H.) z redakcji „Głosu FSC" do pracy w Zespole Kuźni... etc. etc.

Równocześnie zgodnie z umową o pracę dla pracowników umysłowych Dz. U. Nr 35, poz. 323 z późniejszymi zmianami wypowiada się Obywatelowi umowę o pracę z dniem 31.08.1968 r. w zakresie warunków pracy i płacy..." itd.itd.

Dokument ten podpisał tylko zastępca (przebywającego wówczas na urlopie) dyrektora naczelnego FSC, inż. Zbigniew Bartosiewicz. W pisemku nie wspomniano nawet jednym słowem o powodach, dla których zostałem wyrzucony z redakcji. Chyba się Pan nie dziwi, Redaktorze, że poszedłem jeszcze w tym samym dniu (17 VIII 68 r.) do dyr. Z. Bartosiewicza, aby go poprosić o wyjaśnienie przyczyn. Oto — w skrócie — przebieg tej rozmowy:

JA: Byłbym wdzięczny, gdybym mógł wiedzieć, za co zostaje wyrzucony z redakcji.

DYR.: Jeśli to wystarczy... (po przerwie spowodowanej czyjąś rozmową telefoniczną). No cóż. Nie wszystko jest prawdziwe to, co pan pisze, redaktorze.

JA: Proszę bardziej konkretnie.

DYR.: W „Życiu Literackim" nie wszystko...

JA: Przepraszam. Praca w „Życiu Literackim", pomijając jej właśnie literacki charakter, to moja prywatna sprawa. Teoretycznie przynajmniej te same prawa miało 32 miliony Polaków. Pan dyrektor również. A tymczasem konsekwencje, jeśli tak można nazwać, stosuje się służbowe. Proszę o zarzuty w odniesieniu do mojej pracy redakcyjnej w „Głosie FSC".

DYR.: No cóż. Jesteśmy obaj dorośli. Nie ma co owijać w bawełnę. Wielu pana nie widzi w redakcji. Jest spora grupa ludzi w fabryce, którzy nie chcą pana w redakcji. Ja do nich też należę.

JA: Bardzo mi przyjemnie. Ośmielam się jednak zauważyć, że fabryka nie jest udzielną własnością owej, jak pan dyrektor to łaskawie określa, sporej grupy ludzi.

DYR.: Poza tym współpraca. No, współpraca redakcji z tymi... no, jak im tam?... no, korespondentami...

JA: Zła czy dobra?

DYR.: Zła oczywiście.

JA: Za współpracę tę odpowiada całe kolegium, cały zespół redakcyjny i redaktor naczelny. Harasimiuk jest, pardon — był jednym z kilku, szarym pracownikiem. Czy się nie przecenia przypadkiem roli pionka?

A na marginesie mogę dodać, że nie najlepsza współpraca wcale mnie osobiście nie dziwi. Jak może być dobra, skoro prawdziwe listy czy materiały, zdarza się, idą do kosza?

DYR.: Ja szczegółów nie znam. Nie muszę.

Więc zbieg okoliczności to wyrzucenie mnie z redakcji w 6 dni po zakończeniu druku „Pięciu listów"? Być może. Ale wówczas również zbiegiem okoliczności musiałbym nazwać fakt, że w ub. r. mgr Jan Kamiński bezpośrednio po opublikowaniu w „Głosie FSC" cyklu krytycznych artykułów pt. „Statystyczny kierownik" został przeniesiony z komórki socjologicznej do produkcji na stanowisko planisty. Socjolog z pełnym wyższym wykształceniem postawiony został na stanowisko, na którym poradziłby sobie z powodzeniem przeciętny maturzysta.

A więc widzi Pan, Szanowny Redaktorze, że związki pomiędzy literaturą, nawet tą najbardziej fikcyjną, a życiem mogą być, traktując rzecz ogólnie, mocno powikłane. Nie chciałbym, żeby mnie Pan niewłaściwie rozumiał. Wcale nie twierdzę, że wyrzucenie mnie z redakcji ma jakikolwiek związek z publikacją w „Życiu" mojej skromnej, ale literackiej jednak pracy. Być może faktycznie brak mi jest kompetencji i kwalifikacji i, mówiąc prostacko, nie nadaję się na redaktora. Powie Pan, że przecież ukończyłem studia polonistyczne, że w ciągu ostatnich 9 miesięcy zdobyłem w konkursach dziennikarskich i literackich 6 nagród (w tym 3 pierwsze), powie Pan, że zdarza się stosunkowo nierzadko czytać „produkty mego pióra w „Życiu Partii", „Sztandarze Ludu", „Radzie Robotniczej" itd. Nie mogę Panu zaprzeczyć, wszystko to są fakty, ale przecież w FSC można stosować odmienne kryteria, prawda? Poza tym proszę wziąć pod uwagę, że FSC może mieć także odmienne potrzeby, sytuacje — a zatem i odmienne wymagania.

Jakkolwiek się rzeczy mają (ponieważ i tak nie nam rozstrzygać ani sądzić decyzji możnych świata tego) jeszcze raz proszę o publikację listu: aby już nikt nie miał wątpliwości, że listy sympatycznego, mam wrażenie, C. K. do Szanownego Pana Profesora są fikcyjne, a moja skromna praca konkursowa drukowana 4 i 11 VIII br. na łamach „Życia Literackiego" jest słabym, bo słabym, ale jednak literackim utworem.

Z poważaniem

St. Harasimiuk

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● W związku z 25 rocznicą powstania w getcie białostockim, pod patronatem Frontu Jedności Narodu w Białymstoku odbyła się uroczysta wieczornica. Na cmentarzu żydowskim przed tablicami pamiątkowymi przy Domu Prasy na ul. Malmeda złożono wieńce i kwiaty.

● W Białowieży trwa IV doroczny plener artystów plastyków z kraju i zagranicy.

● Teatr im. Al. Węgierki po wakacyjnej przerwie wznowił przedstawienia. Na afiszach „Powrót mamy" — Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i „W małym dworku" Witkiewicza.

● W Tykocinie gościli studenci Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Malownicze położenie i zabytki miasta były tematem wielu prac rysunkowych i malarskich studentów warszawskich, pokazanych na specjalnych wystawach mieszkańcom Tykocina i licznym turystom.

● Państwowa Orkiestra Symfoniczna z Białegostoku koncertowała w wielu miejscowościach Białostocczyzny, często pod gołym niebem. Program koncertów w całości poświęcono 25 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego.

KIELCE

● Grupa archeologów odkryła w Wośnikach (dzielnica Radomia) osadę liczącą 4 tys. lat i cmentarzysko sprzed 4,5 tys. lat. W Rzeszutkach koło Gnojna mgr inż. Kors odkrył fragment starego cmentarzyska — prawdopodobnie z okresu wpływów celtyckich.

● Związek Młodzieży Wiejskiej w Kielcach zorganizował w okresie wakacji wiele obozów szkoleniowo-wypoczynkowych, w których wzięło udział około tysiąca młodych ludzi.

● W okresie urlopowym kielczanie najchętniej kupowali „kryminały" i lektury szkolne. Taka jest opinia kieleckich księgarzy.

● „Echo Ziemi Opatowskiej" Franciszka Faliszewskiego — szkic monograficzno-wspomnieniowy z dziejów powiatu opatowskiego — to kolejna cenna pozycja wydana staraniem Kieleckiego Towarzystwa Naukowego.

● Od końca sierpnia do połowy września trwały imprezy popularyzujące folklor świętokrzyski. M.in. w dniach 13—15 września w Słupi Nowej odbyły się „Dymarki 68".

● W Kielcach odbyło się posiedzenie Komisji Kultury KW PZPR, poświęcone sprawom repertuaru Teatru im. St. Żeromskiego.

LUBLIN

● W Lublinie bawił Michał Trachman — fotoreporter „Litieraturnoj Gaziety" w Moskwie, autor wydanego przez Wydawnictwo Lubelskie albumu „Dwa spotkania". Michał Trachman przeprowadził wstępne rozmowy z Wydawnictwem Lubelskim w sprawie wydania kolejnego albumu.

● Teatr im. J. Osterwy zaprezentował w telewizyjnym festiwalu teatrów dramatycznych „Kulig" Leona Schillera.

● Dobiegają końca prace przy nowo wznoszonym domu kultury puławskich „Azotów". Inwestycja, której koszt wyniesie około 3,5 mln zł, w poważnym stopniu wpłynie na rozwój życia kulturalnego w Puławach.

RZESZÓW

● W woj. rzeszowskim przebywała grupa działaczy Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej ze Lwowa. Licznie reprezentowani byli pracownicy prasy, radia i telewizji.

● Dwa dni obradowało plenum Rady Chorągwi ZHP w Rzeszowie. Tematem obrad były zadania programowo-organizacyjne Chorągwi w roku 1968/69.

● Na Rzeszowszczyźnie występował zespół pieśni i tańca z Austrii, prezentując autentyczny folklor rejonu wschodnich Alp.

● W Rzeszowie otwarto sklep MHD z pamiątkami regionalnymi. Kierownictwo MHD nawiązało kontakty z twórcami regionalnymi z Rzeszowskiego, których prace znajdą się zapewne na półkach rzeszowskiego sklepu.

● Wiejskie kino „Wiedza" w Markowej, pow. Łańcut, wyposażone zostało w aparaturę przystosowaną do wyświetlania filmów panoramicznych.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) i ROMUALD WIŚNIEWSKI.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35 tel. 255-93

Korespondencję zwykłą prosimy kierować na adres: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — na adres redakcji.

Zam. 2839 29.VIII.68 C-4

FELIETON Z REZERWY

Z prośbą o amnestię

TYM razem nawalił BAR i na ostatniej stronie nie ma jego stałej pozycji „Z życia wzięte". Pozostało więc wolne miejsce z reguły przeznaczane w takich wypadkach na „Felieton z rezerwy". Może dobrze, iż tak się stało: „Kamena" obchodzi swój mały jubileusz, a właściwie dwa małe jubileusze: trzydziestopięciolecie założenia pisma i wydanie 400 numeru. Dwa małe jubileusze — to tak jak jeden duży.

Rocznica nastawia mnie sentymentalnie. Ze wzruszeniem biorę do ręki pierwszy rocznik „Kameny" z kolorowymi okładkami. Forma zeszytowa. Pamiętam, gdy jako mały chłopak segregowałem poszczególne numery rozpoznając je właśnie po okładkach. Ojciec otrzymywał wiele wierszy z całej Polski. Ciągle dziwiłem się, jak odróżnia utwór grafomański od utworu posiadającego wartość literacką...

Potem wrzesień 1939 roku i przystanek... „Kamena". Przez Chełm przeciągało wielu uciekinierów, wśród nich była spora gromadka literatów, nie omieszkali oni zawadzić o redakcję pisma, w którym drukowali swoje prace. Redakcja, oczywiście, mieściła się w naszym prywatnym mieszkaniu. Miałem wówczas możność osobistego poznania co znakomitszych piór i słuchania wielogodzinnych dyskusji, z których zapamiętałem tylko rozpalony głos Adama Polewki. Jalu Kurek pożyczał ode mnie kryminalne broszurki w rodzaju „Harry Dixona" i „Lorda Listera" twierdząc, że w owych czasach to najlepsza lektura.

Do dziś widzę wychodzącego z auta Jerzego Kamila Weitrauba — olbrzyma z mikroskopijną żoną i w uszach dźwięczą mi jego słowa: „Ale tu u was sielanka!". Może dlatego zapamiętałem je tak dobrze, że po południu Chełm przeżył pierwszy nalot bombowy i Weitraub musiał szybko zmienić zdanie.

Później odrodzenie, powojenne odrodzenie „Kameny". Teraz już więcej rozumiałem i z niecierpliwością oczekiwałem na nowy numer. Nieraz musiałem czekać bardzo długo, numery były podwójne i potrójne. A już specjalnie mi dłużyła się produkcja tego numeru, w którym miał się ukazać mój wiersz, wprawdzie nie debiut, ale bądź co bądź pierwsza rzecz wydrukowana w „Kamenie".

Następnie bardzo luźno współpracowałem z pismem. Pochłonęło mnie dziennikarstwo, od czasu do czasu przesyłałem ze Szczecina materiały związane z gospodarką morską, artykuły na aktualne tematy międzynarodowe, humoreski, czasem wiersz. Nie sądziłem wówczas, że los tak zdarzy, iż w styczniu 1965 roku przyjdzie mi objąć redakcję „Kameny", przy której narodzinach jako czteroletni brzdąc asystowałem.

Cóż, jeszcze za wcześnie na wspomnienia, chociaż trochę już się ich zdążyło nagromadzić. Pierwszy rok mojego redagowania „Kameny" to był rok eksperymentów. Nie było wówczas zespołu, pracowaliśmy zrywami, mając na głowie sporo kłopotów finansowych. Jednocześnie zależało nam na wzroście nakładu, stąd wiele bardziej czy mniej udanych rubryczek, które miały nam zyskać nowego czytelnika, przekonać, że „Kamenę" staramy się redagować tak, aby każdy mógł dla siebie znaleźć coś, co by go mogło zainteresować. Ale sposób łamania pisma był zbyt gazetowy, wiele materiałów trąciło gazetową publicystyką. Cóż — sam stawiałem pierwsze kroki w dwutygodniku, a długoletnia praca w dzienniku musiała wycisnąć swoje piętno. Nie neguję jednak doświadczeń zdobytych w gazecie. Wiele mogłem nauczyć się od Edwarda Adamiaka, dzisiejszego wiceszefa radia i TV, pod którego kierownictwem niegdyś pracowałem w „Sztandarze Ludu" i od Józka Bareckiego, dzisiejszego wiceszefa „Trybuny Ludu", mego bezpośredniego zwierzchnika w „Głosie Szczecińskim". Mógłbym cytować więcej nazwisk ludzi, którym sporo zawdzięczam. Najwięcej jednak zawdzięczam Ojcu, bo przecież pod jego bezpośrednim wpływem, w klimacie redagowanej w domu „Kameny", sam zapragnąłem zostać dziennikarzem. Już w czwartej klasie szkoły podstawowej na pytanie, kim chciałbym być, gdy dorosnę, odpowiedziałem w ten właśnie sposób.

Miało być o jubileuszu „Kameny", ale zboczyłem na temat jak najbardziej osobisty. Ale jak tu nie zbaczać, jeśli „Kamena" jest córką mego Ojca, a więc moją siostrą. Lubię tę siostrę, jedyną zresztą. Cieszę się, gdy ją chwalą, martwię się, gdy ganią. Ale każdy ma swoje wzloty, każdy ma też upadki. Nie błądzi tylko ten, kto stoi w miejscu z założonymi rękoma.

My w „Kamenie" nie chcemy stać w miejscu, wolimy się nawet tu i ówdzie potknąć, ale stale pragniemy penetrować nowe obszary, zyskiwać nowe nazwiska, szukać nowych tematów, przedstawiać różne, kontrowersyjne nawet, stanowiska. Czy i jak się nam to udaje, o tym wiedzą najlepiej nasi czytelnicy. Rośnie ich grono, chociaż nam się wydaje, że zbyt powoli. Może jesteśmy niecierpliwi? Na pierwszej stronie rzuciliśmy hasło: Każdy przyjaciel „Kameny" propagatorem pisma. Każdy przyjaciel „Kameny" przysparza pismu nowych czytelników!

Na czterdziestolecie chcielibyśmy podwoić nakład „Kameny". Sądzimy, że jest to zamierzenie realne, mamy bardzo wiele białych plam, zwłaszcza w sąsiednich województwach. Z wdzięcznością witamy zawsze wzmianki na temat kolejnego numeru pisma w poszczególnych gazetach i czasopismach, cieszymy się, gdy się z nami nie zgadzają (bo to jest najlepsza reklama pisma), chcielibyśmy, aby nie zgadzali się częściej. Zawsze chętnie też użyczamy naszych łamów dla kolegów-dziennikarzy z Lublina, Kielc, Rzeszowa czy Białegostoku pod warunkiem, by artykuł miał ręce i nogi, poruszał interesującą tematykę.

* * *

Biorę teraz do ręki ów materiał i pytam sam siebie: To jest felieton z rezerwy? Czy to w ogóle jest felieton? Potem macham ręką żałując, że nie odstąpiłem tematu Jackowi.

Gdyby chłopak był w redakcji, może by to i owo przerobił. Ale jeśli Jacek powiedziałby: „Maju, do rondla" byłoby co najmniej głupio. Niech więc leci „toto" na linotypy. Czytelnicy z okazji trzydziestopięciolecia — trzeba trochę pomarzyć — ogłoszą amnestię!

MAJ

MINUTA MYŚLENIA

Telegram o przygotowaniach do snu

CHCIAŁEM o tym napisać wcześniej, ale ilekroć zbliżałem długopis do papieru, przejmował mnie lękiem brak kompetencji. Rzeczywiście — w sprawie, którą zaraz poruszę, jestem ignorant zupełny. Niech więc jedyną moją legitymacją będzie ten okruch odwagi, który pozwala mi przyznać się do nierozumienia.

Nierozumienia czego? Krótkich filmów. „Kino krótkich filmów", które co pewien czas prezentuje w TV Bolesław Michałek, to program tak nijaki, tak pozbawiony treści i problemu, że nawet ryzykując przegięcie, czuję wewnętrzny przymus wepchnięcia palca między drzwi. Niech już pochodzę trochę z obandażowaną dłonią, ale może ktoś ze znawców zabierze głos i wyjaśni mi, na czym to wszystko polega?

Film jest sztuką, która nie znosi gadulstwa, dłużyzn, fragmentów bez wymowy, elementów przypadkowych i niefunkcjonalnych. Odnosi się to do filmu „normalnego", do „pełnego metrażu", do utworu wymagającego prawie dwugodzinnej projekcji. Tym bardziej więc przypuszczać by to należało o filmie krótkim, którego racją bytu powinna być owa kondensacja. Film krótki to chyba z założenia koncentrat sztuki filmowej, coś, co do niej ma się tak, jak stenografia do normalnego pisma. Skrót, sygnał, pośpieszny zapis. Film krótki nie musi być krótkim tylko przez czas trwania. Jego nazwa musi mieć swe jakościowe uzasadnienie. Jeśli film w ogóle jest sztuką tempa, to specjalnie film krótki, bo tu się właśnie zakłada ten „niewystarczający" metraż, co ma być skompensowane właśnie spotęgowaniem nośności środków wyrazu. Gra tych dwu czynników składa się na nowy rodzaj twórczości filmowej. Tymczasem parę ostatnich krótkich filmów, jakie oglądałem w tele, to filmy niebywale długie. Za długie o tych pięć czy dziesięć minut, w ciągu których były wyświetlane. Akcja rozwodniona, problem żaden. Choćby np. „Świat trzylatka" pokazany w poniedziałek 26.VIII. 68 Bon Dieu! Pewnie, że w tym wieku chłopak ma jakieś zabawki, że zabrudzi sobie czymś ręce, że nie w porę gdzieś wybiegnie, by sprawdzić horyzontalny kłopot swej mamusi. Więc co mi niniejszym powiedziano? A przecież nastawiając się na film krótki mam prawo oczekiwać maksymalnego współczynnika proporcji między podaną treścią, a czasem projekcji. W rezultacie byłoby to dłużyzną nawet w filmie normalnym, nie realizującym postulatu owej kondensacji, którą jako widz chcę znaleźć przy zaproszeniu mnie na teren nowej jakości filmowej. Inaczej — po co zapowiedź nowego stylu, nowej poetyki?

Oczywiście, w komentarzu wszystko to da się „uciekawić" i Bolesław Michałek robi to z dużą umiejętnością. Tak dużą, że chyba niepotrzebnie jego nazwisko wymieniłem na wstępie, bo zdawać by się mogło, że swoimi zastrzeżeniami obejmuję również i jego udział w programie. Ale w końcu zmuszony będę przestać mu wierzyć, jak zdecydowanie przestałem Lucjanowi Kydryńskiemu, któremu tylko na początku udawało się we mnie wmówić, że każda zaprezentowana przezeń piosenkarka z Jamajki, czy Ekwadoru to rrrewelacja na skalę światową.

Kino krótkich filmów. To rzeczywiście obiecujące, zaciekawiające, intrygujące pytaniem — jak współczesna sztuka filmowa formuje swoje współczesne słowo. Niestety — nic tu ze współczesności. A przecież droga wydawałaby się być wskazana przez film animowany, a jeszcze bardziej rysunkowy.

Ta masa dowcipu, pomysłowości, ta umiejętność metafory, jaka tam istnieje niechby tylko zaraziła trochę gatunek nazywany filmem krótkim, a stałby się on naprawdę nowym językiem dziesiątej muzy. Niechby może coś ściągnął ze stylistyki np. „zwiastunów". Możliwe, że samo określenie jest tu nieprecyzyjne, ponieważ „zwiastuny" są niczym więcej, niż tylko ruchomymi fotosami zestawionymi bez żadnej komponującej myśli wyłącznie w celach informacyjnych, czy reklamowych ale nie można powiedzieć, by mimo to — przy swej kondensacji czysto nawet mechanicznej — nie podpowiadały jakichś rozwiązań formalnych.

Właśnie formalnych. Krótki film przede wszystkim powinien być etiudą o wysokich walorach technicznych, popisem sprawności warsztatowej. Nie może tego pola zostawić rysunkowi, czy reklamie sam przejmując najbardziej filmowo wątpliwe cechy filmu normalnego. „W telegraficznym skrócie" — oto jego racja i honor. A nie telegrafuje się przecież o tym, że trzyletni brzdąc poplamił sobie ręce tuszem, a przed spaniem poszedł zrobić siusiu.

Ijon

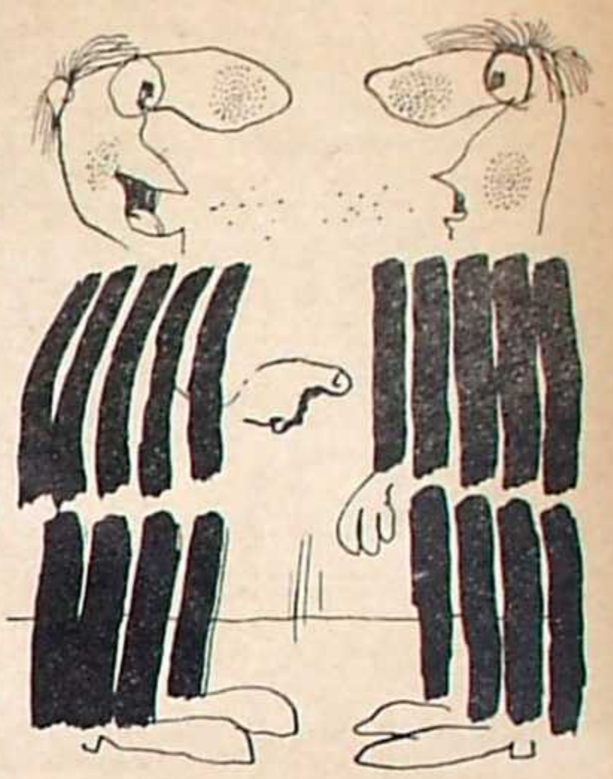

— A pana za co posadzili?
— Za kasę.
— Pancerną?
— Nie, grycaną.

Rys. L. Szalecki

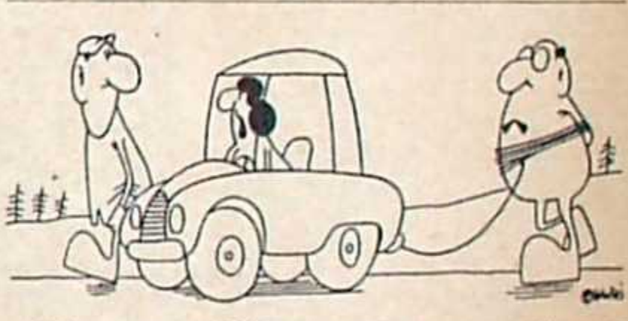

— Gdzie jest najbliższy urząd stanu cywilnego?

Rys. W. Fuglewicz

BIG-BEAT

Ludwiko do rondla!

PANIE Redaktorze! Z pewnym opóźnieniem trafił mi do rąk 31 numer „Wieści", w którym niejaka Ludwika (w formie listu do „Kolegi Redaktora") wywnętrza się na temat Kazimierza Grześkowiaka. O Grześkowiaku „Kamena" pisała już kilkakrotnie, ba — był czas, kiedy i Grześkowiak pisywał w „Kamenie" felietony, a właściwie mini-felietony. Można by więc uważać temat za „odfajkowany". Jak jednak pozostawić bez odpowiedzi ple-ple pani Ludwiki, której redakcja „Wieści" użyczyła gościnnych łamów? Owo ple-ple jest o tyle groźne, że pani Ludwika stroi się w szaty obrończyni wsi polskiej, strzela do Grześkowiaka z działa największego kalibru, ośmieszając w konsekwencji nie obiekt swego ataku, ale po prostu siebie.

Cóż więc pisze pani Ludwika? Oto siedziała ona w jakimś tam klubie wiejskim i śledziła na szklanym ekranie przebieg festiwalu opolskiego. „Wpatrywaliśmy się — stwierdza — jak urzeczeni w ekran, kiedy na estradzie opolskiej śpiewana była piosenka „Chłop żywemu nie przepuści". Brało nas w miarę śpiewanych zwrotek zakłopotanie, zdziwienie, a wreszcie niesmak... Wykonawca piosenki podstroił się, upozował na chłopa, przyprawiając sobie wąsy... Z estrady popłynęła gwara, jak przystało na osobnika z wąsami... Ostatecznie można się pobawić i starą gwarą, gdyby treść piosenki do tego upoważniała. O czym jednak śpiewał Kazimierz Grześkowiak... Kmiotek Grześkowiaka dał obraz chłopskiego matołka dążącego do zniszczenia wokół siebie wszystkiego, co żywe. Ten pierwotniak Grześkowiaka, prócz ciągot do niszczenia, kopania i bicia wszystkiego, co wlezie pod rękę, ma jeszcze jedno uczucie, którym się powoduje — niepohamowaną zachłanność, chytrość. A więc pierwotniak Grześkowiaka unicestwia muchę, kopie mysz, niszczy „glizdę".

Pani Ludwiko! Gdy się ktoś wpatruje w ekran jak urzeczony, nie może nań nachodzić zakłopotanie, zdziwienie tudzież opanowywać niesmak. Człowiek urzeczony może co najwyżej wyć z zachwytu. Poza tym Kazio Grześkowiak wąsów sobie nie przyprawia. Gdyby Pani mogła za te wąsy pociągnąć, przekonałaby się osobiście, że są one oryginalne, czyli stanowią prywatną własność piosenkarza. Warto by też zapytać Panią, czy nigdy nie zabiła muchy, nigdy nie zastawiała pułapek na myszy i nigdy nie niszczyła „glizdy" chociażby w czasie połowu ryb?

Jedźmy jednak dalej. Do jakiej konkluzji dochodzi pani Ludwika?

„Wymowa piosenki „kmiotka" Grześkowiaka jest jednoznaczna, zawarte w niej jest natrząsanie się ze stanu chłopskiego, a moralno-etyczna postawa chłopa sprowadzona jest do bezmyślności, żądzy znęcania się, niszczenia i chciwości... Kmiotek Grześkowiaka został z... kultury i etyki odarty. Zrobiono go łachmanem, może nawet zapijaczonym, bo rozbijającym szyby w klubo-kawiarni.

...Pytam Kazimierza Grześkowiaka z Lublina (a może z lubelskiej wsi), ile to kroniki milicyjne w Polsce zanotowały wypadków demolowania klubów wiejskich? W jakim świecie ten „artysta" się wychował, kto mu zaszczepił pogardę dla wsi? A może to tylko zabawa? Jeśli zabawa, to dla ewaniaków".

Uff! Ja też chciałbym zapytać panią Ludwikę, w jakim ona wychowała się świecie, jeśli nie ma za grosz poczucia dowcipu? Kto się na dowcipie nie poznaje, nikt mu nie każe się uśmiechać, chociaż brak poczucia humoru należy do wad najgorszych. Bo wówczas powstają takie bzdury, jakie wyszły spod pióra pani Ludwiki.

Pani Ludwiko — że wpadnę w w Pani styl — pytam Panią, czy zna Pani satyry twórców ludowych? Proszę sięgnąć do II tomiku „Wsi Tworzącej" (Wydawnictwo Lubelskie, 1966 r.). Na stronicy 55 znajdzie Pani wiersz Stanisława Buczyńskiego pt „Pili". Autor tego utworu należy do grona wybitniejszych poetów ludowych, przed wojną był skazany na więzienie za organizowanie strajków chłopskich. Ma więc piękną kartę i będzie już Pani wiedziała „w jakim świecie się wychował". Otóż w tym wierszu Buczyński tak pisze:

„Obawy, kłopoty, troski...
Gadało o tym pół wioski.
I przyszłość jasną ci śnili
i... pili.

Nim się ktoś o to zapytał,
pewnej żeś nocki zawitał...
Przyjście twe bliscy i mili
...opili.

Gości się zeszło też sporo
i nie wiem, jaką to porą
Wojtkiem cię zgodnie ochrzcili
i... pili.

Rosłeś, jak dębczak zuchwały
baby cię w koło swatały,
wreszcie, niebożę, zżenili
i... pili.

I zaginąłeś gdzieś w tłumie.
Lecz odnaleźli cię... w trumnie
i ledwie wieko przybili —
znów... pili".

No i co, Pani Ludwiko? Proszę ładować działo, chociaż ja raczej skierowałbym Panią do rondli. Bo jak pisze inny twórca ludowy, Adam Mirkiewicz, prowadzący gospodarstwo rolne w Wilczkowie (woj. wrocławskie) „Baba — to jest mściwy gad. Ma w języku groźny jad".

Ale co pani Ludwice zawinił Grześkowiak?

Jacek

Aforyzmy o poezji

Poezja — to rzemiosło, w którym pracuje wielu uczniów, ale mało mistrzów.

Szerszeń

Wiersze wszędzie były pierwszymi dziećmi geniuszu i pierwszymi nauczycielami krasomówstwa.

Wolter

Poezja — to muzyka słów.

S. Fuller

W wierszach o wsi głównym bohaterem jest harmonista.
Traktorzysta wykorzystywany jest tylko dla rymu.

Ł. Mitnickij

Malarstwo — to poezja, którą się widzi, a poezja — to malarstwo, które się słyszy.

Leonardo da Vinci

Poezja jest wewnętrznym ogniem każdego talentu.

F. Dostojewski

Piękne rymy nierzadko służą za szczudła kulawym myślom.

H. Heine

Wybrał: **F. S.**

Marian Karczmarczyk

Myśli prowincjonalne

Jeśli wpadłeś w czyjąś paszczę, staraj się być niesmaczny. Może cię wyplują.

Niejedna ręka jest czysta dlatego, że ją inni lizali.

Najwybitniejsi diabli powstają z upadłych aniołów.

Nie uprzedzaj faktów, bo potem będziesz miał trudności z zapewnieniem sobie alibi.

I mur przesądów trudno przebić głową.

Nie pomoże stawanie na głowie, gdy nie możesz utrzymać się na nogach.

Ryszard Podlewski

Notatki myśli-wego

Literatura koszmarna, powiedział redaktor, wrzucając rzecz do kosza.

* * *

Egzamin ze świadomego macierzyństwa można zdawać tylko praktycznie.

* * *

Dwie są postawy życiowe: albo się piąć, albo wypiąć. Pnąc się trzeba się wypinać, wypinając się — trudno się piąć!

* * *

Pesymista boi się nawet śmiać z cudzego nieszczęścia. Obawia się, że mógłby „skonać ze śmiechu"!

* * *

„Mamy gości", znaczy raczej, że to oni nas mają — w swojej mocy!

* * *

Dla automobilisty najlepszym przy-domkiem jest... garaż.